

HORACE MCCOY

czyż nie dobija się koni?

Przełożyła

ZOFIA ZINSERLING

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe Warszawa 1987

Tytuł oryginału:

„They Shoot Horses, Don't They?”

Tekst oparty na wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego z 1977 r.

Niech oskarżony wstanie.

1

Wstałem. Przez chwilę znów widziałem Glorię siedzącą na tamtej ławce na moło. Kula właśnie ugodziła ją w bok głowy, krew nie zaczęła nawet się sączyć. Błysk wystrzału jeszcze oświetlał jej twarz. Wszystko było takie oczywiste. Siedziała całkowicie odprężona, zupełnie spokojna. Głowa lekko się odchyliła pod wpływem wstrząsu; nie widziałem pełnego profilu, ale dostatecznie dużą część twarzy i ust, żeby wiedzieć, że Gloria się uśmiecha. Prokurator nie miał racji mówiąc sędziom przysięgłym, że zmarła w męczarniach, pozbawiona przyjaciół, sama, jeśli nie liczyć brutalnego mordercy, tam w tę czarną noc nad brzegiem Pacyfiku. Nie miał ani krzty racji. Nie zmarła w męczarniach. Była odprężona i spokojna, i uśmiechała się lekko. Po raz pierwszy wtedy widziałem ją uśmiechniętą. Jakim cudem więc mogła cierpieć męczarnie? I nie była pozbawiona przyjaciół.

Ja byłem jej najlepszym przyjacielem. Byłem jej jedynym przyjacielem. Więc jak mogła być pozbawiona przyjaciół?

**Czy istnieje jakakolwiek
podstawa prawna, by wstrzymać
ogłoszenie wyroku?**

2

Cóż mogłem powiedzieć? Wszyscy ci ludzie wiedzieli, że ją zabiłem; a jedyna osoba, która mogłaby mi pomóc, też nie żyła. Więc stałem tam patrząc na sędziego i kręcąc głową. Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie.

- Niech pan prosi sąd o łaskę - powiedział Epstein, mój obrońca z urzędu.

- Co takiego? - zapytał sędzia.

- Wysoki sędzie - powiedział Epstein - zdajemy się na łaskę sądu. Ten chłopak przyznaje, że zabił dziewczynę, ale robiąc to wyświadczył jej tylko przysługę...

Sędzia zastukał młotkiem o stół patrząc na mnie.

**Skoro nie istnieje żadna
podstawa prawna, by wstrzymać
ogłoszenie wyroku...**

3

Zabawne, w jaki sposób poznałem Głorię. Ona też próbowała się wkręcić do filmu, o tym jednak dowiedziałem się dopiero później. Któregoś dnia szedłem aleją Melrose ze studio Paramount i usłyszawszy czyjeś „Hej! Hej!” odwróciłem się, a to ona biegła za mną wymachując ręką. Przystanąłem i pomachałem w odpowiedzi. Dogoniła mnie zadyszana, podniecona i wtedy się okazało, że jej nie znam.

- Szlag by trafił ten autobus - oświadczyła.

Obejrzałem się; autobus jadący w kierunku Western rzeczywiście był już w połowie drogi do następnej przecznicy.

- Och, wydawało mi się, że machasz na mnie - powiedziałem.

- Po co miałabym na ciebie machać?

Roześmiałem się.

- Nie wiem. Idziesz w moją stronę?

- Równie dobrze mogę iść pieszo - odparła i ruszyliśmy razem w stronę Western.

Tak się to wszystko zaczęło i teraz wydaje mi się bardzo dziwne. Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, myślałem i w dalszym ciągu nic nie rozumiem. To nie było morderstwo. Próbuję wyświadczyć komuś przysługę, a kończy się na tym, że mnie zabijają. *Zabiją mnie. Wiem doskonale, co powie sędzia. Poznają po jego minie, że będzie szczęśliwy mówiąc to, a po nastroju siedzących za mną ludzi poznają, że będą szczęśliwi słysząc jego słowa.*

Bo choćby ten ranek, kiedy spotkałem Głorię. Nie czułem się za dobrze; jeszcze całkiem nie wyzdrowiałem, ale wybrałem się do Paramount, bo von Sternberg kręcił rosyjski film i pomyślałem, że może uda mi się dostać pracę. Miałem zwyczaj zadawać sobie pytanie, co mogłoby być miłsze nad pracę u von Sternberga czy Mamouliana, czy Bolesławskiego,

nad otrzymanie zapłaty za to, że patrzę, jak reżyseruje, nad poznawanie zasad kompozycji, tempa i ustawienia kamery... więc poszedłem do Paramount.

Nie wpuścili mnie do środka; kręciłem się przed wejściem, dopóki jeden z jego asystentów nie wyszedł na lunch. Dogoniłem go i spytałem, czy mam szansę trochę postatystować.

- Żadnej - odparł i wyjaśnił, że von Sternberg bardzo starannie dobiera statystów. Wydało mi się świństwem mówić takie rzeczy, ale wiedziałem, o co mu chodzi, bo moje ubranie nie najlepiej się prezentowało.

- Czy to nie film kostiumowy? - zapytałem.

- Wszystkich statystów angażujemy przez Centralę. - Mówiąc to ruszył przed siebie.

Nie szedłem w żadnym określonym kierunku; jechałem sobie właśnie moim Rolls - Roycem, a ludzie pokazywali mi palcami jako najślawniejszego reżysera na świecie, kiedy usłyszałem wołanie Glorii. Widzicie, jak to bywa?...

Szliśmy więc dalej aleją Melrose w stronę Western, wiedziałem już, że nazywa się Gloria Beatty i że jest statystką, której też szczęście nie dopisuje, ona zaś dowiedziała się o mnie tego i owego. Bardzo mi się spodobała.

Odnajmowała w pobliżu Beverly pokoik przy rodzinie, ja mieszkalem zaledwie o parę przecznic dalej, więc tego wieczora spotkaliśmy się po raz drugi. To ten pierwszy wieczór o wszystkim zadecydował, ale nawet teraz nie mogę z czystym sercem powiedzieć, że żałuję tego spotkania. Miałem jakieś siedem dolarów zarobionych w drugstorze (gdzie nalewalem wodę sodową w zastępstwie przyjaciela. Musiał zawieźć swoją dziewczynę do Santa Barbara na zabieg, bo przez niego nabawiła się kłopotu), więc spytałem Glorię, czy woli iść do kina, czy posiedzieć w parku.

- W jakim parku?

- Tu niedaleko.

- Doskonale. Zresztą filmów mam już po dziurki w nosie. Niech mnie drzwi ścisną, jeśli nie jestem lepszą aktorką niż większość tych damulek. Chodź, siądziemy i będziemy nienawidzili ludzi...

Cieszyłem się, że chce iść do parku. Zawsze było tam przyjemnie. Doskonale się w nim siedziało. Park był malutki, zajmował przestrzeń między czterema najbliższymi ulicami, ale panował tam głęboki mrok i zupełna cisza i gęsto rosły krzewy. Okalały go drzewa palmowe, wysokie na piętnaście, osiemnaście metrów ni stąd, ni zowąd wystrzępione na czubku. Z chwilą kiedy człowiek tu wszedł, doznawał złudnego poczucia bezpieczeństwa. Często wyobrażałem sobie, że palmy to wartownicy w groteskowych hełmach: moi prywatni

wartownicy stojący na straży mojej prywatnej wyspy.

W parku doskonale się siedziało. Między drzewami prześwitywały budynki, zwaliste, prostokątne sylwetki kamienic czynszowych, z czerwonymi reklamami na dachach, barwiącymi na czerwono niebo w górze, a także wszystko i wszystkich w dole. Lecz jeśli ktoś chciał się od tego oderwać, wystarczyło po prostu siedzieć nieruchomo zapatrzonym, bo wtedy zaczynały się oddalać. Tym sposobem można je było odegnąć na dowolną odległość.

- Nigdy dotąd nie zwracałam na ten park szczególnej uwagi - powiedziała Gloria.

- Mnie on się podoba. - Zdjąłem marynarkę i rozłożyłem ją na trawie, żeby Gloria miała na czym usiąść. - Przychodzę tutaj trzy, cztery razy na tydzień.

- To naprawdę musi ci się podobać - zauważyła siadając.

- Dawno już jesteś w Hollywood? - zapytałem.

- Jakiś rok. Występowałam w czterech filmach. A byłoby więcej, tylko nie chcą mnie zarejestrować w Centrali.

- Mnie też nie.

Osoba nie zarejestrowana w Centralnym Biurze Obsad ma znikome szanse. Duże studia dzwonią do Centrali i zamawiają czworo Szwedów czy sześcioro Greków, albo parę czeskich chłopów czy sześć wielkich księżnych, a resztą zajmuje się Centrala. Wiedziałem, dlaczego nie zarejestrowali Glorii. Była zbyt jasną blondynką, za drobnej budowy, i wyglądała za staro. Gustownie ubrana mogłaby się wydać atrakcyjna, ale nawet wtedy nie nazwałbym jej ładną.

- Nie spotkałeś kogoś, kto mógłby ci pomóc? - zapytałem.

- Jak można w tym zawodzie powiedzieć, kto ci pomoże? Dziś jesteś elektrykiem, a jutro producentem. Do tej grubej ryby mogłabym się dostać tylko wtedy, gdybym w biegu wskoczyła na stopień samochodu takiego faceta. Zresztą nie wiem, czy gwiazdorzy mogą być równie pomocni jak gwiazdy. Z tego, na co się ostatnimi czasy napatrzyłam, wnioskuję, że pozwoliłam dobierać się do mnie przedstawicielom nie tej płci, co potrzeba...

- Jak to się stało, że przyjechałaś do Hollywood?

- Och, nie wiem - odpowiedziała po chwili - ale wszystko jest lepsze w porównaniu z życiem, jakie miałam w domu. - Zapytałem, gdzie to było. - W Teksasie - odparła. - W zachodnim Teksasie. Byłeś tam kiedy?

- Nie. Ja pochodzę z Arkansas.

- Cóż, zachodni Teksas to paskudny stan. Mieszkałam z ciotką i wujem. On był hamulcowym na kolei. Dzięki Bogu widywałam go tylko raz czy dwa razy na tydzień...

Urwała i bez słowa wpatrywała się w czerwoną, mglistą poświatę nad czynszówkami.

- Miałaś przynajmniej dom - zauważyłem.

- Tak ty to nazywasz. Bo ja mam na to inną nazwę. Kiedy wuj był w domu, zawsze się do mnie przystawiał, a kiedy był w drodze, żarliśmy się z ciotką. Bała się, że na nią nagadam.

- Mili ludzie - powiedziałem sam do siebie.

- Więc w końcu uciekłam. Do Dallas. Byłeś tam kiedy?

- Nigdy w życiu nie byłem w Teksasie.

- Mała strata. Nie mogłam dostać pracy, więc postanowiłam ukraść coś w sklepie, żeby gliny musiały się mną zająć.

- To był dobry pomysł.

- To był świetny pomysł - przyznała - tylko że niepraktyczny. Owszem, zostałam aresztowana, ale tajniacy pożałowali mnie i wypuścili na wolność. Żeby nie umrzeć z głodu, zamieszkałam z Syryjczykiem, który miał sklepik z parówkami na rogu koło ratusza. Żuł tytoń. Stale żuł tytoń. Byłeś kiedy w łóżku z mężczyzną żującym tytoń?

- Nie wydaje mi się - odparłem.

- Mogłabym chyba nawet i to wytrzymać, ale kiedy chciał mnie zerznąć na stole kuchennym, między jednym klientem a drugim, miałam dość. W dwie noce później zażyłam truciznę.

- O Jezu - powiedziałem sam do siebie.

- Zażyłam jej za mało. Tylko się pochorowałam. Fuj, do dziś czuję w ustach smak tego paskudztwa. Tydzień leżałam w szpitalu. To tam wpadłam na pomysł, żeby przyjechać do Hollywood.

- Naprawdę?

- Bo czytałam tygodniki filmowe. Po wypisaniu wybrałam się autostopem. Śmieszne, co?...

- Szalenie śmieszne - odpowiedziałem próbując się roześmiać. - Nie masz rodziców?

- Już nie mam. Mój stary zginął na wojnie we Francji. Chciałabym zginąć na wojnie.

- Dlaczego nie rzucisz filmu?

- A niby dlaczego miałabym to zrobić? Mogę zostać gwiazdą w ciągu jednego wieczoru. Weź Hepburn i Margaret Sullavan, i Josephine Hutchinson... ale powiem ci, co bym zrobiła, gdyby mi starczyło odwagi: wyskoczyłabym oknem albo rzuciłabym się pod tramwaj czy coś w tym rodzaju.

- Rozumiem, co czujesz. Doskonale rozumiem, co czujesz.

- Dziwi mnie - powiedziała - że wszyscy przywiązują tak wielką wagę do życia, a tak małą do śmierci. Dlaczego wszyscy ci bardzo mądrzy uczeni zawsze tylko kombinują, jak by

przedłużyć życie, a nie wynajdą miłych sposobów skończenia ze sobą. Na świecie musi być cholernie dużo ludzi takich jak ja, którzy chcą umrzeć, ale nie mają odwagi.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Doskonale rozumiem, o co ci chodzi.

Umilkliśmy na parę sekund.

- Jedna z moich przyjaciółek próbowała mnie namówić do udziału w maratonie tanecznym na plaży - powiedziała. - Dają darmo jedzenie i łóżko, dopóki nie odpadniesz, a tysiąc dolarów w razie wygranej.

- Jedzenie za darmo brzmi nie najgorzej.

- Ale nie jest najważniejsze. Mnóstwo producentów i reżyserów przychodzi na te maratony. Zawsze jest szansa, że cię wypatrzą i dadzą rolę w filmie. Co ty na to?

- Ja? Och, ja za dobrze nie tańczę...

- Nie musisz. Musisz tylko stale być w ruchu.

- Chyba lepiej nie próbować. Byłem dość ciężko chory. Niedawno przeszedłem grypę żołądkową. O mały włos nie umarłem. Byłem taki osłabiony, że do klo wlokłem się na czworakach. Chyba lepiej nie próbować. - I przecząco pokręciłem głową.

- Kiedy to było?

- Tydzień temu.

- Teraz jesteś już zdrowy.

- Nie bardzo... Chyba lepiej nie próbować. Mógłbym dostać nawrotu choroby.

- Moja w tym głowa - powiedziała.

- Może za tydzień...

- Wtedy będzie za późno. Jesteś dość silny - stwierdziła.

**...orzeczenie i wyrok
tego sądu brzmi...**

4

Maraton taneczny odbywał się na plaży, przy molo, w ogromnym, starym budynku służącym niegdyś za salę tańca. Wzniesiono go nad wodą, na palach, i pod naszymi nogami, pod podłogą, w dzień i w nocy huczał ocean. Wyczuwałem jego falowanie poduszczkami palców u nóg, jak gdyby to były stetoskopy.

Środek zajmował parkiet taneczny dla zawodników, szeroki mniej więcej na dziewięć metrów i na sześćdziesiąt metrów długi. Z trzech stron otaczały go łóże, a za nimi amfiteatralnie ustawione ławy dla publiczności. Przy końcu parkietu wznosiła się estrada dla orkiestry, która grała tylko w nocy i nie była za dobra. W ciągu dnia mieliśmy taką muzykę, jaką dało się złapać w radio. Ponieważ stosowano wzmacniacze, prawie zawsze była za głośna, wypełniała salę hałasem. Mieliśmy mistrza ceremonii, do którego obowiązków należało dopilnowanie, żeby widzowie czuli się jak u siebie w domu; dwóch sędziów parkietowych, którzy przez cały czas znajdowali się razem z zawodnikami na parkiecie, doglądając porządku; dwóch pielęgniarzy i dwie pielęgniarzki, i lekarza na wszelki wypadek. Lekarz w ogóle nie wyglądał na lekarza. Był o wiele za młody.

Do maratonu wystartowały sto czterdzieści cztery pary, ale sześćdziesiąt jeden odpadło w pierwszym tygodniu. Zgodnie z regulaminem tańczyło się godzinę i pięćdziesiąt minut, po czym następowała dziesięciominutowa przerwa na wypoczynek, w czasie której można było spać, jeśli ktoś miał ochotę. Ale w ciągu tych dziesięciu minut człowiek musiał się także ogolić czy wykapać, opatrzyć nogi albo załatwić inne niezbędne sprawy.

Pierwszy tydzień był najtrudniejszy. Wszystkim popuchły nogi - a tam w dole ocean wciąż łomotał, przez cały czas łomotał o pale. Do rozpoczęcia tego maratonu kochałem Ocean Spokojny: jego nazwę, ogrom, kolor, jego zapach; godzinami siadywałem przypatrując mu się, rozmyślając o statkach, które po nim pływały i nigdy już nie wróciły, o Chinach i morzach południowych, rozmyślając o najróżniejszych rzeczach... Ale z tym koniec. Mam

dość Oceanu Spokojnego. Wszystko mi jedno, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. *Pewno nie zobaczę. Już sędzia się o to postara.*

Kilkoro starych wyjadaczy poradziło nam po cichu, jak wygrać maraton. Zależało to od tego, czy wypracujemy z Glorią doskonały system wykorzystywania tych dziesięciminutowych przerw na odpoczynek: trzeba nauczyć się jeść kanapkę w trakcie golenia, nauczyć się jeść w drodze do ustępu, podczas opatrywania nóg, nauczyć się czytać gazetę w tańcu, spać w tańcu opierając się na ramieniu partnera, ale wszystko to były sztuczki zawodowe, w których należało nabrać wprawy. Mnie i Glorii wydawały się początkowo bardzo trudne.

Dowiedziałem się, że mniej więcej połowa uczestników konkursu to zawodowcy. Dla zarobku brali udział w maratonach tanecznych na terenie całego kraju, niekiedy wręcz jeździli autostopem z miasta do miasta. Resztę stanowili dziewczęta i chłopcy, którzy zgłosili się tak jak my z Glorią.

Najbardziej zaprzyjaźniła się z nami para nr 13. Nazywali się James i Ruby Bates, pochodzili z małego miasteczka w północnej Pensylwanii. Po raz ósmy już startowali w takim maratonie; w Oklahomie wygrali 1500 dolarów za to, że przez 1253 godziny znajdowali się w ustawicznym ruchu. Kilka innych par też miało na swoim koncie jakieś zwycięstwa, ale wiedziałem, że James i Ruby dojdą do finału. To znaczy, o ile Ruby przedtem nie urodzi dziecka. Spodziewała się go za cztery miesiące.

- Co ugryzło Glorię? - zagadnął mnie któregoś dnia James, kiedy wracaliśmy na parkiet z pomieszczenia przeznaczonego do spania.

- Nic. O co ci chodzi? - zapytałem, chociaż wiedziałem, o co mu chodzi. Glorię znów ogarnęła czarna melancholia.

- Wciąż powtarza Ruby, że trzeba być wariatką, żeby urodzić dziecko. Gloria namawia ją na skrobankę.

- Nie rozumiem, dlaczego wygaduje takie rzeczy - powiedziałem próbując załagodzić sytuację.

- Poradź jej, żeby się odczepiła od Ruby.

Kiedy gwizdek oznajmił rozpoczęcie 216 godziny konkursu, powtórzyłem Glorii, co mówił James.

- A niech go diabli wezmą - powiedziała. - Co on o tym wie?

- Nie rozumiem, dlaczego nie mieliby mieć dziecka, jeśli tego pragną. To ich sprawa. Nie chcę urazić Jamesa. Brał udział w wielu takich konkursach i już skorzystaliśmy z paru jego dobrych rad. Co nam przyjdzie z tego, że poczuje się dotknięty?

- To wstyd, żeby ta dziewczyna miała dziecko - upierała się Gloria. - Co za sens rodzić dziecko, jeśli się nie ma dość forsy na jego utrzymanie?

- Skąd wiesz, że nie mają? - zapytałem.

- Jak mają, to co tutaj robią?... Na tym polega cały kłopot. Wszyscy mają dzieci...

- Och, nie wszyscy - zaprotestowałem.

- Dużo tam wiesz. Lepiej by ci było, gdybyś się nie urodził...

- A może i nie. Jak się czujesz? - Próbowałem zająć ją czymś innym.

- Zawsze się czuję pod psem - odparła. - Mój Boże, ależ wolno się rusza wskazówka tego zegara.

Na podium mistrza ceremonii rozpięto dużą, płócienną płachtę z wymalowaną tarczą zegara i podziałką 2500 godzin. Wskazówka zatrzymała się teraz na liczbie 216. Wyżej wisiał napis:

UPLYNĘŁO GODZIN..... 216

POZOSTAŁO PAR..... 83

- Jak twoje nogi?

- Jeszcze dość słabe - odpowiedziałem. - Ta grypa żołądkowa to coś straszego...

- Niektóre dziewczyny myślą, że trzeba będzie 2000 godzin, żeby wygrać.

- Mam nadzieję, że nie. Tak długo chyba nie wytrzymam.

- Buty mi się dra - powiedziała Gloria. - Jeśli prędko nie znajdziemy kogoś, kto nas sfinansuje, zostanę boso. - Finansowała zwykle jakaś spółka czy firma, która dawała swetry z wypisanymi na plecach reklamami swoich produktów. To ona zaopatrywała tańczących we wszystko, co niezbędne.

James i Ruby tańczyli obok nas.

- Powiedziałaś jej? - zapytał James patrząc na mnie. Przytaknąłem.

- Chwileczkę - odezwała się Gloria, kiedy już się zaczęli oddalać. - Co to za zwyczaj, żeby gadać za moimi plecami?

- Poradz tej małej, niech się ode mnie odczepi. - James w dalszym ciągu zwracał się bezpośrednio do mnie.

Gloria zaczęła coś mówić, ale nie dokończyła, bo poprowadziłem ją w inne miejsce. Chciałem unikać awantur.

- Kawał drania - powiedziała.

- Poczul się urażony. No i co z tego?

- Chodź, to mu tak nagadam, że mu w pięty pójdzie...

- Glorio - prosiłem - może zechcesz łaskawie nie wtykać nosa w cudze sprawy?

- Przymknij się - usłyszałem czyjś głos. Obejrzałem się. Był to Rollo Peters, sędzia parkietowy.

- Cholera ci w bok - warknęła Gloria. Pod palcami wyczuwałem drganie jej pleców, tak jak pod stopami wyczuwałem kołysanie oceanu.

- Zamknij się - powtórzył Rollo. - Słysząc cię w łoży. Co ty myślisz, że to jakaś spelunka?

- I to jaka jeszcze - odcięła się Gloria.

- Cicho już, cicho - powiedziałem.

- Mówiłem ci już, że masz nie cholerować - ostrzegł Rollo. - Żebym więcej nie musiał tego powtarzać. Na widzach robi to złe wrażenie.

- Na widzach? A gdzie tu są widzowie? - spytała Gloria.

- Niech ciebie o to głowa nie boli - odrzekł Rollo rzucając mi wściekle spojrzenie.

- Cicho już, cicho - uspokajałem.

Zagwizdał i wszyscy zastygli w bezruchu. Niektórzy ledwie się poruszali, akurat tyle, żeby nie zostać zdyskwalifikowani.

- W porządku, dzieci, mały sprint - powiedział Rollo.

- Mały sprint, dzieci - powtórzył do mikrofonu mistrz ceremonii, Rocky Gravo. Jego głos, donośny dzięki wzmacniaczom, wypełnił salę zagłuszając łoskot oceanu. - Mały sprint... po torze... Zaczynamy - zwrócił się do orkiestry, która zagrała na jego znak. Zawodnicy zaczęli tańczyć trochę żwawiej.

Sprint trwał ze dwie minuty, a kiedy się skończył, Rocky pierwszy zaczął bić brawo, po czym powiedział przez mikrofon:

- Spójrzcie na te dzieciaki, panie i panowie. Są jak majowy poranek po 216 godzinach światowych mistrzostw wytrzymałości w tańcu. Jest to próba wytrzymałości i umiejętności. Dzieciaki dostają jeść siedem razy na dzień: trzy solidne posiłki i cztery lżejsze. Niektórzy nawet przybrali na wadze od chwili rozpoczęcia konkursu i są pod stałą opieką lekarzy i pielęgniarek, którzy troszczą się o to, żeby byli w jak najlepszej formie. A teraz poproszę parę nr 4, Mario Petrone i Jackie Miller, żeby pokazali nam coś specjalnego. Proszę, para nr 4. Oto oni, panie i panowie. Czy to nie ładna para?

Mario Petrone, krzepki Włoch, i Jackie Miller, drobna blondynka, podeszli do estrady przy słabym akompaniamencie oklasków. Pogadali z Rockym i zaczęli bardzo niedobrze stepować. Ani Mario, ani Jackie nie zdawali sobie chyba sprawy z tego, że źle to robią. Na zakończenie parę osób rzuciło pieniądze na parkiet.

- Dawajcie, ludzie - zachęcał Rocky. - Srebrny deszcz. Bardzo proszę.

Jeszcze kilka monet upadło na podłogę. Mario i Jackie podnieśli je mijając nas w tańcu.

- Ile? - zapytała Gloria.

- Na wycucie jakieś trzy czwarte dolara - odparła Jackie.

- Skąd pochodzisz, mała? - zagadnęła Gloria.

- Z Alabamy.

- Tak też mi się zdawało - powiedziała Gloria.

- Powinniśmy się we dwójkę nauczyć czegoś specjalnego - zwróciłem się do Glorii. - Moglibyśmy dodatkowo coś niecoś zarobić.

- Lepiej na tym wyjdiesz, jak nic nie będziesz umiał - powiedział Mario. - Ta dodatkowa praca osłabia nogi.

- Czy wszyscy słyszeliście już o wyścigach? - spytała Jackie.

- A to co takiego? - zapytałem w odpowiedzi.

- Jakiś rodzaj gonitwy - odparła. - Pewnie wyjaśnię to podczas następnej przerwy.

- Zaczyna się na dobre - powiedziała Gloria.

**...że za zbrodnię zabójstwa
pierwszego stopnia...**

5

W garderobie Rocky Gravo przedstawił nam Vincenta (Socks) Donalda, jednego z organizatorów.

- Słuchajcie no, dzieci - powiedział Socks - nie załamujcie się tylko, dlatego, że publika nie przychodzi na maraton. Żeby taką rzecz rozkręcić, trzeba czasu, więc postanowiliśmy wprowadzić małą nowość i ściągnąć tłumy. Zrobimy tak. Wymalujemy na parkiecie owal i co wieczór wszyscy będą ganiać po torze przez piętnaście minut, a ostatnia para zostanie każdego wieczora wyeliminowana. Głowę daję, że widownia będzie pełna.

- I przedsiębiorca pogrzebowy będzie miał pełne ręce roboty - odezwał się czyjś głos.

- Ustawimy parę składanych łóżek pośrodku owalu - powiedział organizator - i podczas wyścigu będziemy mieć pod ręką lekarza i pielęgniarki. Jeśli jeden zawodnik wypadnie i odejdzie do punktu opatrunkowego, partner zrobi za niego dodatkowe okrążenie. Wy, dzieci, będziecie miały większą frajdę, bo przyjdzie więcej ludzi. A jak ściągnie ta hollywoodzka paczka, będzie też miała niezgorszą zabawę... Jak tam jedzenie? Czy są jakieś skargi? Doskonale, dzieci, znakomicie. Wy nam pójdziecie na rękę, to i my wam pójdziemy na rękę.

Wyszliśmy na parkiet. Nikt z zawodników nie miał nic do powiedzenia na temat wyścigów. Tak jakby każdy pomysł im się podobał, pod warunkiem, że zwabi tłumy. Rollo podszedł do mnie, kiedy siedziałem na barierce. Miałem jeszcze ze dwie minuty na wypoczynek przed następną dwugodzinną harówką.

- Nie gniewaj się na mnie o to, co powiedziałem kilka minut temu. Nie chodzi o ciebie, tylko o Glorię.

- Wiem. To porządna dziewczyna - odparłem. - Ma po prostu żal do świata, nic więcej.

- Staraj się ją uciszać - radził.

- To trudna sprawa, ale się postaram.

Po chwili spojrzałem na pochylnię prowadzącą do damskiej garderoby i ku memu zdumieniu zobaczyłem, że Gloria wychodzi na parkiet razem z Ruby. Ruszyłem jej naprzeciw.

- Co sądzisz o wyścigach? - zapytałem.

- Dobry sposób, żeby nas wykończyć.

Na odgłos gwizdka znów zaczęliśmy.

- Dziś jest tu najwyżej ze sto osób - powiedziałem.

My nie tańczyliśmy. Otaczałem ramieniem plecy Glorii, a ona obejmowała mnie w pasie i tak chodziliśmy. To było dozwolone. W pierwszym tygodniu musieliśmy tańczyć, ale później już nie. Wystarczyło, jeśli ktoś poruszał się bezustannie. Zobaczyłem Jamesa i Ruby, którzy zbliżali się do nas, i z jego miny wywnioskowałem, że coś jest nie w porządku. Chciałem uciec, ale nie miałem dokąd.

- Mówiłem ci już chyba, żebyś się odczepiła od mojej żony, co? - zwrócił się do Glorii.

- Niech cię diabli wezmą, małpiszonie jeden - odparowała Gloria.

- Chwileczkę - wtrąciłem się do rozmowy. - O co chodzi?

- Znów czepiała się Ruby - powiedział James. - Ledwie się odwrócę, a już się jej czepia.

- Nie myśl o tym, Jim. - Ruby starała się go odciągnąć.

- Kiedy nie mogę. Mówiłem, żebyś się zamknęła, czy nie mówiłem? - zwrócił się do Glorii.

- Odpieprz się...

Gloria nie zdążyła dokończyć, bo tak ją rąbnął w policzek, że wyrznęła głową o moje ramię. Tęgo jej dołożył. Na to nie mogłem pozwolić. Zamachnąłem się i walnąłem go w usta. On uderzył mnie w szczękę lewą ręką, aż się zatoczyłem na tańczące pary. Dzięki temu nie upadłem. Rzucił się na mnie, a ja wczepiłem się w niego i mocując się próbowałem dosięgnąć kolanem krocza, żeby go sfaulować. Nie miałem innej szansy.

Ktoś zagwizdał mi prosto w ucho i już się do nas zabierał. Był to Rollo Peters. Rozdzielił nas.

- Dostyc tego - powiedział. - Co się tu dzieje?

- Nic - odparłem.

- Nic - odparła Ruby.

Rollo skinieniem ręki dał znak stojącemu na podium Rocky'emu.

- Zaczynamy - krzyknął Rocky i orkiestra zagrała.

- Rozejść się - polecił Rollo zawodnikom, a oni zaczęli się rozchodzić. - Za mną - powiedział i poprowadził ich dookoła parkietu.

- Na drugi raz poderżnę ci gardło - zagroził James Glorii.

- Odpieprz się - odpaliła.

- Zamknij się - poradziłem.

Odszedłem z nią w kąt i tam zwolniliśmy, tak że prawie przestaliśmy się poruszać.

- Czyś ty oszalała? - zapytałem. - Czemu nie zostawisz Ruby w spokoju?

- Nic się nie martw, nie będę już sobie dla niej gardła zdzierać. Jak chce mieć niewydarzonego bachora, to jej sprawa.

- Dzień dobry, Glorio - odezwał się czyjś głos.

Rozejrzeliśmy się dokoła. Głos należał do starej kobiety siedzącej w łóżu zaraz przy barierce. Nie wiedziałem, jak się nazywa, ale był to kawał dziwaczki. Przychodziła co wieczór, przynosiła ze sobą koc i jedzenie. Kiedyś otuliła się kocem i została do rana. Mogła mieć ze sześćdziesiąt pięć lat.

- Dzień dobry - odpowiedziała Gloria.

- Co się tam u was działo? - zapytała stara kobieta.

- Nic. Posprzecaliśmy się trochę.

- Jak się czujesz?

- Chyba nieźle - odrzekła Gloria.

- Nazywam się Layden - przedstawiła się tamta. - Jesteście moją ulubioną parą.

- Och, dziękuję pani - powiedziałem.

- Próbowaliśmy stanąć do tego konkursu - oświadczyła pani Layden - ale nie chcieli mnie przyjąć. Powiedzieli, że jestem za stara. A mam dopiero sześćdziesiąt lat.

- No cóż, to wspaniale - stwierdziłem.

Przystanęliśmy z Glorią, objęci ramionami, bez przerwy się kołysząc. Trzeba było przez cały czas się poruszać. Dwóch mężczyzn weszło do łóżu i stanęło za plecami kobiety. Obaj żuli nie zapalone cygara.

- Tajniacy - szepnęła Gloria.

- Jak się pani podoba nasz konkurs? - zapytałem panią Layden.

- Szalenie - odparła. - Doprawdy szalenie. Tacy mili chłopcy i dziewczęta...

- Żywiej, dzieci - rzucił Rollo przechodząc koło nas.

Skinąłem pani Layden głową i przesunąłem się dalej.

- Wyobrażasz sobie coś takiego? - zapytała Gloria. - Powinna siedzieć w domu i

przewijać niemowlęta. Chryste Panie, mam nadzieję nie dożyć takiej starości.

- Skąd wiesz, że ci faceci to detektywi?

- Bo mam nosa - odparła Gloria. - Mój Boże, i pomyśleć o tej starszej pani! Zbikowana na tym punkcie. Powinni jej policzyć komorne. - Pokręciła głową. - Mam nadzieję nie dożyć takiej starości - powtórzyła znowu.

Spotkanie ze starszą panią podziało na Glorię bardzo przygnębiająco. Mówiła, że przypomniały jej się kobiety z miasteczka w zachodnim Teksasie, gdzie przedtem mieszkała.

- Przed chwilą weszła Alice Faye - oznajmiła jedna z dziewcząt. - Widzisz? Tam siedzi.

Rzeczywiście była to Alice Faye w towarzystwie dwóch mężczyzn, których nie znałem.

- Widzisz ją? - zapytałem Glorię.

- Nie chcę jej widzieć - odparła.

- Panie i panowie - przemówił Rocky do mikrofonu - mamy dziś zaszczyt gościć piękną gwiazdę filmową, pannę Alice Faye. Poproszę o oklaski dla panny Faye, panie i panowie.

Wszyscy klaskali, a panna Faye kłaniała się z uśmiechem. Socks Donald, siedzący w łoży koło podium dla orkiestry, też się uśmiechał. Paczka hollywoodzka zaczęła przychodzić.

- Bij brawo - powiedziałem do Glorii.

- Czemu miałabym bić jej brawo? - spytała. - A cóż ona ma takiego, czego mnie brakuje?...

- Zazdrościsz jej.

- Święta prawda, zazdroszczę. Dopóki mnie się nie poszczęści, będę każdemu zazdrościć sukcesu. A ty?

- Na pewno nie.

- Głupi jesteś.

- Hej, popatrz no - powiedziałem.

Dwaj detektywi wyszli z łoży pani Layden i przysiedli się do Socksa Donalda. Nachyleni ku sobie patrzyli na kartkę, którą jeden z nich trzymał w ręce.

- Doskonale, dzieciaki - mówił Rocky do mikrofonu. - Mały sprint, a potem odpoczynek... Proszę bardzo - zwrócił się do orkiestry klaszcząc w dłonie i przytupując o deski estrady w takt muzyki. Po chwili i widownia klaskała w dłonie przytupując do wtóru.

Wszyscy kręciliśmy się w kółko pośrodku parkietu, wszyscy zapatrzeni w dużą wskazówkę zegara, kiedy raptem Kid Kamm z pary nr 18 zaczął tłuc partnerkę po twarzy.

Przytrzymał ją lewą ręką, a prawą bił na odlew. Ona jednak nie reagowała. Świat przestał dla niej istnieć. Wydała parę bulgoczących dźwięków i nieprzytomna osunęła się na podłogę.

Sędzia parkietowy zagwizdał, a podnieceni widzowie zerwali się na równe nogi. Podczas maratonu tanecznego widownia nie bywa przygotowana na silne wrażenia. Jeśli się coś wydarzy, nastrój podniecenia ogarnia ją natychmiast. Pod tym względem maraton taneczny przypomina walkę byków.

Sędzia parkietowy i dwie pielęgniarki dźwignęły dziewczynę i powlekli do garderoby.

- Mattie Barnes z pary nr 18 zemdląła - obwieścił Rocky zgromadzonym na sali. - Zaniesiono ją do garderoby, panie i panowie, gdzie będzie otoczona najtroskliwszą opieką lekarską. Nic groźnego, panie i panowie, nic groźnego. To tylko dowód, że podczas świątecznych mistrzostw tanecznych zawsze coś się dzieje.

- Skarżyła się w czasie ostatniej przerwy - powiedziała Gloria.

- Co jej jest? - zapytałem.

- Ma okres - wyjaśniła Gloria. - I nie będzie już mogła wrócić. Ona należy do tych dziewczyn, co to muszą kłaść się do łóżka na trzy, cztery dni, jak im to wypadnie.

- Czy mogłem to przewidzieć? - mówił Kid Kamm. Rozgoryczony kręcił głową. - Ależ ja mam pecha, bracie! Brałem udział w dziewięciu takich konkursach i ani jednego jeszcze nie ukończyłem. Partnerka zawsze nawala.

- Pewno wydobrzeje - powiedziałem, żeby go pocieszyć.

- Nie - odparł. - Jest skończona. Może sobie teraz wracać na farmę.

Zawyła syrena, obwieszczając zakończenie kolejnej dwugodzinnej harówki. Wszyscy pognali do garderoby. Zrzuciłem buty waląc się na łóżko. Poczułem przyływ fali raz - tylko raz. I zasnąłem.

Obudziło mnie wiercenie amoniaku w nosie. Jeden z trenerów przesunął mi butelkę po brodzie, żebym wdychał ten zapach. (To był najlepszy sposób wyrwania nas z głębokiego snu, wyjaśnił lekarz. Gdyby próbowali nami potrząsać, nigdy by się nas nie dobudzili.)

- W porządku - powiedziałem do trenera. - Już nie śpię.

Usiadłem sięgając po buty. W tej samej chwili zobaczyłem dwóch detektywów i Socksa Donalda, którzy stali obok, przy łóżku Maria. Czekali, aż obudzi go drugi trener. W końcu Mario przewrócił się na plecy i spojrzał na nich.

- Sie masz, koleś - zagadnął jeden z detektywów. - Znasz tego faceta? - Podał mu kartkę. Byłem dość blisko, żeby zobaczyć, co to takiego. Rozpoznałem stronicę wydartą z czasopisma detektywistycznego, a na niej kilka fotografii.

Mario przypatrzył się i zwrócił kartkę detektywowi.

- Pewnie, że znam - odrzekł siadając.

- Nie za bardzo się zmieniłeś - stwierdził drugi detektyw.

- Ty cholerny makaroniarzu - wybuchnął Socks zaciskając pięść. - Próbowaleś mnie zrobić?

- Nie przejmuj się, Socks - odezwał się pierwszy detektyw. A potem zwrócił się do Maria: - No, Giuseppe, zbieraj manatki.

Mario zaczął zawiązywać trzewiki.

- Mam tylko marynarkę i szczotkę do zębów - powiedział. - Ale chciałbym się pożegnać z moją partnerką.

- Ty cholerny, brudny makaroniarzu - krzyknął Socks. - Dobrze to będzie wyglądało w gazetach, co?

- Mniejsza o partnerkę, Giuseppe - odezwał się drugi detektyw. - Hej, synu - zwrócił się do mnie - pożegnasz partnerkę Giuseppe w jego imieniu. Chodź, Giuseppe - zwrócił się do Maria.

- Wyprowadźcie tego cholernego makaroniarza tylnym wyjściem, chłopcy - poprosił Socks Donald.

- Wszyscy na parkiet - ryknął sędzia parkietowy. - Wszyscy na parkiet.

- Do widzenia, Mario - powiedziałem.

Mario nie odezwał się ani słowem. Wszystko to załatwiono bardzo spokojnie, bardzo rzeczowo. Detektywi zachowywali się tak, jakby podobne rzeczy były na porządku dziennym.

**...za którą zostałeś skazany
wyrokiem sądu przysięgłych...**

6

Tak oto Mario poszedł do więzienia, a Mattie wróciła na farmę. *Pamiętam, jaki byłem zdziwiony, kiedy aresztowali Maria pod zarzutem morderstwa. Nie mogłem uwierzyć w jego winę. Był jednym z najmiłszych chłopców, jakich znałem. Wtedy nie mogłem w to uwierzyć. Teraz już wiem, że można być miłym człowiekiem i jednocześnie mordować. Nikt nigdy nie był miłszy dla żadnej dziewczyny, niż ja dla Glorii, ale nadszedł czas, kiedy strzeliłem i zabiłem ją. A więc nie ma najmniejszego znaczenia, czy ktoś jest miły...*

Mattie została automatycznie zdyskwalifikowana, bo lekarz nie zgodził się na jej dalszy udział w konkursie. Powiedział, że gdyby tańczyła dalej, coś by sobie uszkodziła i nigdy nie mogłaby mieć dziecka. Zrobiła z tego powodu straszną awanturę, opowiadała Gloria, zwymyślała lekarzy do ostatnich i stanowczo nie chciała się wycofać. A jednak się wycofała. Musiała. Miała nóż na gardle.

W ten sposób jej partner, Kid Kanim, został partnerem Jackie. Regulamin na to pozwalał. Wolno było tańczyć solo dwadzieścia cztery godziny, ale jeśli przez ten czas ktoś nie znalazł sobie partnera, to go dyskwalifikowali. Zarówno Kid, jak i Jackie sprawiali wrażenie zadowolonych z nowego układu. Jackie nie martwiła się stratą Maria. Do partnera podchodziła zwyczajnie jak do partnera. Za to Kid promieniał. Wydawało mu się chyba, że nareszcie pech przestał go prześladować.

- Mogą wygrać - stwierdziła Gloria. - Są silni jak muły. Ta z Alabamy wykarmiła się na kukurydzy. Spójrz na jej tyłek. Założę się, że mogłaby pociągnąć pół roku.

- Ja stawiam na Jamesa i Ruby - powiedziałem.

- Po tym, jak się z nami obeszli?

- A cóż to ma do rzeczy? Zresztą i nam nic nie brakuje. Mamy szansę wygranej, prawda?

- Czyżby?

- No, ty nie jesteś tego taka pewna.

Pokręciła głową i dopiero po chwili powiedziała:

- Coraz bardziej wolałabym nie żyć.

Znowu to samo. Żebym sprowadzał rozmowę na nie wiadomo jaki temat, zawsze do tego wracała.

- Co mam mówić, żeby ci to nie przypominało, że wolałabyś nie żyć? - spytałem.

- Nic - odrzekła.

- Poddaję się.

Na estradzie ktoś ściszył radio. Teraz muzyka przypominała muzykę. (Korzystaliśmy z radia przez cały czas, kiedy nie grała orkiestra. Było to popołudnie. Orkiestra przychodziła dopiero wieczorem.)

- Panie i panowie - przemówił Rocky do mikrofonu - mam zaszczyt oznajmić, że dwie firmy zgłosiły gotowość finansowania dwóch par. Salon piękności „Pompadour”, Aleja B nr 415, zaopiekuje się parą nr 13 - Jamesem i Ruby Bates. Panie i panowie, a także wy, dzieci, poproszę o duże brawa dla salonu piękności „Pompadour” z Alei B nr 415...

Wszyscy bili brawo.

- Drugą finansowaną parą - podjął Rocky - będzie para nr 34, Pedro Ortega i Lillian Bacon. Zajmie się nimi garaż „Oceanic”. Wspaniale. A teraz duże brawa dla garażu „Oceanic” z Ocean Walkway nr 11 341 w Santa Monica.

I znów wszyscy bili brawo.

- Panie i panowie - mówił Rocky - te cudowne dzieciaki powinny mieć więcej opiekunów. Powiedzcie swoim przyjacielom, panie i panowie, i niech każdym z dzieciaków ktoś się zajmie. Spójrzcie na nich, panie i panowie, po 242 godzinach nieustannego ruchu są jak majowy poranek... duże brawa dla tych cudownych dzieciaków, panie i panowie.

Jeszcze raz zabrzmiały oklaski.

- I proszę pamiętać, panie i panowie - ciągnął Rocky - że tam, w drugim końcu sali, znajduje się Palmiarnia, gdzie podają znakomite napoje, różne gatunki piwa i sandwicze. Odwiedzajcie Palmiarnię, panie i panowie... Zaczynamy. - Odwrócił się do radia i przekręciwszy gałkę ponownie wypełnił salę hałasem.

Podszedłem z Glorią do Pedra i Lillian. Pedro utykał na jedną nogę. Mówiono, że rozorał mu ją byk na arenie w Mexico City. Lillian była brunetką. Ona też próbowała się wkręcić do filmu, kiedy usłyszała o maratonie.

- Moje gratulacje - powiedziałem.

- To dowodzi, że ktoś się nami interesuje - stwierdził Pedro.

- Co prawda nie Metro - Goldwyn - Mayer, ale na razie może być i garaż - powiedziała Lillian. - Ale to trochę dziwaczne, żeby mi garaż kupował bieliznę.

- A kto mówił o bieliznie? - zapytała Gloria. - Nie dostaje się bielizny. Dają trykotową koszulkę z wypisaną na plecach nazwą garażu.

- Ja dostaję także bieliznę - odparła Lillian.

- Hej, Lillian - zawołał Rollo, sędzia parkietowy - ta pani z garażu „Oceanie” chce z tobą pomówić.

- Jaka znów pani? - spytała Lillian.

- Twoja opiekunka, pani Yeargan.

- To dlatego, że narobiłam szumu - zauważyła Lillian. - Wygląda na to, że dostaniesz bieliznę, Pedro.

Przeszliśmy z Glorią koło podium mistrza ceremonii. Przyjemnie tam było o tej porze po południu. Duży trójkąt słonecznego światła padał przez podwójne okno nad barem w Palmiarni. Trwało to zaledwie jakieś dziesięć minut, ale przez te dziesięć minut przesuwałem się wolno po słonecznej plamie (musiałem się poruszać, żeby nas nie zdyskwalifikowali), cały zalany promieniami. Po raz pierwszy wtedy doceniłem słońce. Jak się skończy ten maraton - mówiłem sobie - resztę życia spędzę na słońcu. Nie mogę się doczekać kręcenia filmu na Saharze. *Oczywiście to nigdy już nie nastąpi.*

Patrzyłem, jak słoneczny trójkąt na podłodze stopniowo się kurczy. W końcu małał do jednego punktu i zaczynał mi wpełzać po nogach. Wspinał się po mnie jak żywe stworzenie. Kiedy dosięgał brody, stawałem na palcach, żeby jak najdłużej padał mi na głowę. Nie zamykałem oczu. Otwierałem je szeroko, patrząc prosto w słońce. Wcale mnie nie oślepiało. Po chwili zniknęło.

Rozejrzałem się za Glorią. Stała przy podium, kiwając się z boku na bok, i rozmawiała z Rockym, który przysiadł na piętach. Rocky także się kiwał. (Cały personel - lekarz, pielęgniarki, sędziowie parkietowi, mistrz ceremonii, nawet chłopcy od wody sodowej mieli przykazane poruszać się w czasie rozmowy z zawodnikami. Kierownictwo bardzo skrupulatnie tego przestrzegało.)

- Wyglądałeś bardzo zabawnie, kiedy tam stałeś na czubkach palców - powiedziała Gloria. - Przypominałeś baletnika.

- Wprawiaj się, to ci pozwolę na występ solowy - obiecał Rocky ze śmiechem.

- Jakie dziś było słońce? - spytała Gloria.

- Nie daj robić z siebie balona - powiedział mijając nas Mack Aston z pary nr 5.

Ktoś zawołał Rocky'ego. Był to Socks Donald. Rocky zląkł z estrady i ruszył w jego

stronę.

- To nieładnie, że się ze mnie nabijasz - zwróciłem się do Glorii. - Ja nigdy tego nie robię.

- Ty nie musisz. Nabija się ze mnie specjalista. Pan Bóg urządza sobie ze mnie kpiny... Wiesz, jaki interes ma Socks do Rocky'ego? Ciekaw jesteś, co się tu u nas dzieje?

- No co?

- Znasz nr 6, Freddy'ego i tę małą Manski. Jej matka zaskarżyła Freddy'ego i Socksa. Dziewczyna uciekła z domu.

- Nie widzę tu żadnego związku.

- Ona jest nieletnia - wyjaśniła Gloria. - Ma może z piętnaście lat. Mój Boże, tyle ich się puszcza, więc facet powinien chyba mieć trochę oleju w głowie.

- Czemu zwalasz wszystko na Freddy'ego? To nie musi być jego wina.

- Prawo mówi, że jego - powiedziała Gloria. - A to się tylko liczy.

Poprowadziłem ją tam, gdzie stali Socks i Rocky, chcąc podsłuchać, o czym rozmawiają, ale szeptali przyciszonym głosem. Właściwie mówił tylko Socks. Rocky słuchał i kiwał głową.

- Natychmiast - dobiegł mnie głos Socksa.

Rocky skinął na znak, że rozumie, i wrócił na parkiet, chytrze mrugając w przejściu do Glorii. Zbliżył się do Rollo Petersa i odwołał go na bok, coś mu przez chwilę cicho, z przejęciem tłumaczył. Potem Rollo odszedł rozglądając się dokoła, jakby kogoś szukał, a Rocky ponownie wycofał się na estradę.

- Te dzieciaki już za parę minut czeka zasłużony wypoczynek - obwieścił przez mikrofon. - A kiedy zejdą z parkietu, proszę państwa, malarze wymalują na nim duży owal na dzisiejsze wyścigi. Dzisiejsze wyścigi, panie i panowie, pamiętajcie o wyścigach. Ręczę, że czegoś równie podniecającego jeszczeście państwo nie widzieli. W porządku, dzieci, za dwie minuty idziecie wypocząć. Mały sprint, dzieci. Pokażcie państwu, jacy jesteście żwawi. Państwa także proszę, żebyście pokazali tym cudownym dzieciakom, że z nimi trzymacie.

Nastawił głośniej radio i zaczął klaskać w dłonie, wybijając rytm nogą. Widownia przyłączyła się do niego. Wszyscy ruszyliśmy nieco żwawiej, ale nie z powodu oklasków, tylko dlatego, że za jedną czy dwie minuty czekał nas odpoczynek, a zaraz potem mieliśmy dostać coś do jedzenia.

Gloria szturchnęła mnie łokciem; podniosłem oczy i zobaczyłem Rollo Petersa idącego między Freddy'ego a małą Manski. Wydawało mi się, że mała Manski płacze, ale zanim zdążyliśmy ich dogonić, zawyła syrena i wszyscy popędzili do garderoby.

Freddy stał przy swoim łóżku i upychał zapasową parę butów do małej torby zamykanej na suwak.

- Wiem, co się stało - powiedziałem. - Bardzo mi przykro.

- Mniejsza z tym - odparł. - Tylko że to ona mnie zgwałciła... Będę zachwycony, jak mi się uda drapnąć z miasta i nie wpaść glinom w łapy. Mam szczęście, że ktoś po cichu uprzedził Socksa.

- Dokąd się wybierasz? - spytałem.

- Chyba na południe. Zawsze mnie korciło, żeby zwiedzić Meksyk. Do zobaczenia.

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, Freddy już się ulotnił. Kiedy wychodził tylnymi drzwiami, przelotnie mignęło mi słońce roziskrzone na tafli oceanu. Na chwilę tak osłupiałem, że nie mogłem się poruszyć. Nie wiem, czy bardziej mnie zdziwiło, że po raz pierwszy od prawie trzech tygodni rzeczywiście widzę słońce, czy to, że są tam drzwi. Podeszedłem do nich w nadziei, że słońce nie zdąży tak prędko zniknąć. *Tylko raz w życiu równie gorąco czegoś pragnąłem, na jedno Boże Narodzenie, kiedy byłem mały, ale już na tyle duży, żeby sobie zdawać sprawę, czym są święta, i poszedłem do frontowego pokoju, i zobaczyłem choinkę z zapalonymi świeczkami.*

Otworzyłem drzwi. Na krańcu świata słońce zanurzało się w oceanie. Było takie czerwone i płomienne, i gorące, że się zdziwiłem, dlaczego nie pojawiła się para. *Kiedyś widziałem parę unoszącą się nad oceanem. Było to na szosie biegnącej wzdłuż wybrzeża i jacyś mężczyźni robili coś z prochem. Nagle proch wybuchnął, a na nich zapaliły się ubrania. Wtedy właśnie widziałem parę.*

Koloryt słońca przesączył się przez rzadkie chmury barwiąc je na czerwono. Tam daleko, gdzie zanurzało się słońce, ocean był bardzo spokojny, w niczym nie przypominał oceanu. Był śliczny, śliczny, śliczny, śliczny, śliczny, śliczny. Jacyś mężczyźni łowili ryby z pomostu i nie zwracali uwagi na zachód słońca. Ależ głupcy. Ten zachód słońca jest wam bardziej potrzebny niż ryby - mówiłem im w duchu.

Ktoś szarpnął drzwi i zatrzasnął je z hukiem podobnym do armatniego wystrzału.

- Głuchy jesteś? - wrzasnął mi nad uchem. Był to jeden z trenerów. - Te drzwi mają być zamknięte! Chcesz, żeby cię zdyskwalifikowali?

- Patrzyłem tylko na zachód słońca.

- Zbikowałeś? Powinieneś spać. Sen jest ci potrzebny - powiedział.

- Sen nie jest mi potrzebny - odparłem. - Czuję się doskonale. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

- Ale potrzebny ci wypoczynek. Masz zaledwie parę minut czasu. Wyciągnij się na chwilę.

Odprowadził mnie do łóżka. Teraz zauważyłem, że w garderobie panuje niemiły zaduch. Jestem bardzo wrażliwy na przykre zapachy i zdziwiło mnie, że wcześniej nie czułem odoru zbyt wielu mężczyzn stłoczonych w zamkniętym pomieszczeniu. Zrzuciłem buty i wyciągnąłem się na wznak.

- Rozetrzeć ci nogi? - zapytał.

- Nie trzeba. Nie boją.

Mruknął coś pod nosem odchodząc. Leżałem i myślałem o zachodzie słońca, próbowałem sobie przypomnieć jego koloryt. Nie chodzi mi o czerwień, tylko o inne odcienie. Raz czy dwa razy prawie sobie przypomniałem; było to tak jak ze znanym nazwiskiem, które wyleci z głowy, a choć pamięta się długość, poszczególne litery i kadencję, nie można tego jakoś złożyć w jedną całość.

Przez nogi łóżka wyczuwałem ocean bijący o pale. Wznosił się i opadał, wznosił i opadał, odpływał i przyplýwał, odpływał i przyplýwał. Ucieszyłem się, kiedy zawyła syrena, budząc nas i przywołując z powrotem na parkiet.

**...przewidującym najwyższy
wymiar kary...**

7

Malarze skończyli. Zaznaczyli na parkiecie owal grubą białą krechą. To był tor wyścigowy.

- Freddy poszedł - powiedziałem Glorii w drodze do stołu, na którym czekały sandwicze i kawa. (Nazywano to lekkim posiłkiem. Zasadniczy posiłek dostawaliśmy o dziesiątej wieczór.)

- I mała Manski także - dodała Gloria. - Przyszło po nią dwoje pracowników opieki społecznej. Ręczę, że jej stara dobrze przetrzepie ten śliczny tyłeczek.

- Niechętnie to mówię, ale odejście Freddy'ego było najjaśniejszą chwilą mojego życia.

- Cóż on takiego zrobił?

- Ach, nie o to chodzi. Ale gdyby sobie nie poszedł, nie zobaczyłbym zachodu słońca.

- Mój Boże - Gloria popatrzyła na swojego sandwicza - czy na świecie nie ma już nic prócz szynki?

- Dla ciebie to indyk - odezwał się Mack Aston stojący za mną w kolejce. Kpił sobie.

- Tu jest wołowina - powiedziała pielęgniarka. - Wolisz wołowinę?

Gloria wzięła sandwicza z wołowiną, ale zatrzymała i tego z szynką.

- Dla mnie cztery kostki cukru - poprosiła Rolla, który nalewał kawę. - I dużo śmietanki.

- Ona by zjadła konia z kopytami - zauważył Mack Aston.

- Bez śmietanki - powiedziałem Rollowi.

Gloria zabrała jedzenie na podium mistrza ceremonii, gdzie orkiestra stroiła instrumenty. Rocky Gravo zeskoczył na parkiet i zaczął coś do niej mówić. Nie było tam miejsca dla mnie, więc poszedłem na drugą stronę estrady.

- Cześć - powiedziała jakaś dziewczyna z numerem 7 na plecach. Miała czarne włosy,

czarne oczy i była niebrzydka. Nie znałem jej imienia.

- Cześć - odpowiedziałem rozglądając się dokoła, żeby zobaczyć, czyja to partnerka.

Chłopak rozmawiał z dwiema kobietami z frontowej łoży.

- Jak ci leci? - zapytała siódemka. Głos zdradzał osobę wykształconą.

Co ona tu robi? - zadałem sobie pytanie.

- Chyba niezgorzej - odparłem. - Tylko wolałbym, żeby już było po wszystkim i żebym to ja został zwycięzcą.

- Co byś zrobił z pieniędzmi, gdybyś je wygrał? - spytała ze śmiechem.

- Nakręciłbym film.

- Nie mógłby być długi za tysiąc dolarów, co? - zapytała odgryzając kęs sandwicza.

- Och, nie myślałem o długim metrażu. Chodziło mi o krótki. Mógłbym za to nakręcić dwa, a może trzy akty.

- Zaciekawiasz mnie - powiedziała. - Obserwuję cię od dwóch tygodni.

- Naprawdę? - Byłem zdziwiony.

- Tak. Widuję cię, jak zawsze po południu stajesz na słonecznej plamie, i widuję, jak tysiące razy odmienia ci się wyraz twarzy. Czasami odnoszę wrażenie, że się okropnie boisz.

- Chyba nie masz racji - powiedziałem. - Bo czego mógłbym się bać?

- Podśluchałam, co mówiłeś swojej partnerce o dzisiejszym zachodzie słońca - wyjaśniła z uśmiechem.

- To niczego nie dowodzi.

- Przypuścimy... - Rozejrzała się i marszcząc czoło popatrzyła na zegarek. - Mamy jeszcze cztery minuty. Czy zechciałbyś coś dla mnie zrobić?

- No... pewnie.

Ruchem głowy wskazała kierunek, więc poszedłem jej śladem za podium mistrza ceremonii. Było na jakiś metr dwadzieścia wysokie, obite grubą, dekoracyjną tkaniną opadającą na podłogę. Staliśmy sami jakby we wnęce utworzonej na zapleczu estrady przez mnóstwo tablic z napisami. Gdyby nie hałas, moglibyśmy być jedynymi ludźmi na świecie. Oboje czuliśmy się lekko podekscytowani.

- Chodź - powiedziała.

Położyła się na ziemi i uniósłszy tkaninę wpełzła pod estradę. Serce łomotało mi szybko i czułem krew odpływającą od twarzy. Podeszwami stóp wyczuwałem uderzenie oceanu o pale pod podłogą.

- Chodź - szepnęła i pociągnęła mnie za kostkę.

Nagle zrozumiałem, o co jej chodzi. *W życiu nie miewa się nowych doznań. Coś może*

ci się przytrafić i myślisz, że nigdy tego nie przeżyłeś, myślisz, że to coś całkiem nowego, ale jesteś w błędzie. Wystarczy spojrzeć, czy powąchać, usłyszeć, czy dotknąć, żeby się przekonać, że to doznanie, na pozór całkiem nowe, bynajmniej takie nie jest. Kiedy szarpnęła mnie za kostkę, usiłując wciągnąć pod estradę, przypomniałem sobie, jak kiedyś inna dziewczyna zrobiła dokładnie to samo. Tylko że tam to była frontowa weranda, nie estrada. Miałem wtedy jakieś trzynaście, czternaście lat, a dziewczyna była mniej więcej w moim wieku. Nazywała się Mabel i mieszkała w sąsiednim domu. Po szkole bawiliśmy się zwykle pod frontową werandą, wyobrażając sobie, że to jaskinia, a my jesteśmy zbójcy albo więźniowie. Później bawiliśmy się tam w mamusię i tatusia, wyobrażając sobie, że to nasz dom. Ale w dniu, o którym mówię, stałem przed werandą i w ogóle nie myślałem o Mabel ani o zabawie, kiedy poczułem, że ktoś mnie ciągnie za kostkę. Spojrzałem w dół i była to Mabel. „Chodź” - powiedziała.

Pod estradą panowały ciemności, a kiedy pełzłem na czworakach usiłując coś dojrzeć w mroku, siódemka objęła mnie za szyję. - Prędko... - szepnęła.

- Co się tam dzieje? - warknął męski głos. Ten człowiek był tak blisko, że czułem jego oddech we włosach. - Kto to?

Teraz poznałem głos. Należał do Rocky'ego Gravo. Zrobiło mi się niedobrze. Siódemka puściła mnie i wymknęła się spod estrady. Miałem stracha, że jeśli spróbuję przeproszać, czy coś tłumaczyć, Rocky pozna mnie po głosie, więc szybko przeczołgałem się pod zasłoną. Siódemka była już na nogach i oddalała się spoglądając na mnie przez ramię. Twarz miała białą jak kreda. Żadne z nas nie odezwało się słowem. Wyszliśmy na parkiet udając parę niewiniątek. Pielęgniarka zbierała filiżanki po kawie do koszyka. Wtem spostrzegłem, że ręce i ubranie mam pokryte kurzem. Do gwizdka brakowało dwóch minut, więc poleciałem do garderoby, żeby doprowadzić się do porządku. Po tym zrobiło mi się lepiej.

O mały włos nie nawarzyłem sobie piwa - pomyślałem. - Nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobię.

Wróciłem na parkiet równo z gwizdkiem i pierwszymi taktami muzyki. Orkiestra nie była dobra, ale lepsza niż radio, bo nie musiało się wysłuchiwać gromady spikerów błagających i zaklinających, żeby coś kupić. Odkąd wystartowałem w tym maratonie, nasłuchiwałem się radia na całą resztę życia. *Radio gra teraz w budynku na wprost sądu. Słychać je bardzo wyraźnie. „Potrzebujesz pieniędzy?... jesteś w opałach?...”*

- Gdzie byłeś? - spytała Gloria biorąc mnie pod rękę.

- Nigdzie nie byłem. Masz ochotę zatańczyć?

- Owszem. - Przetańczyliśmy raz dokoła parkietu, po czym przystanąła. - To za bardzo

przypomina pracę.

Kiedy opuściłem rękę, którą przytrzymałem Glorię w pasie, zauważyłem, że znowu mam brudne palce. To zabawne - przemknęło mi przez głowę. - Dopiero co je myłem.

- Obróć się - powiedziałem do Glorii.

- O co ci chodzi?

- Obróć się - powtórzyłem.

Przygryzła wargę niezdecydowana, więc zaszedłem ją od tyłu. Miała na sobie białą, wełnianą spódniczkę i cienki biały sweterek. Plecy jej pokrywała gruba warstwa kurzu, a ja wiedziałem skąd się tam wziął.

- O co ci chodzi? - zapytała znowu.

- Stój spokojnie. - Oczyszczałem ją, strzepując dłonią kłaczki kurzu ze swetra i spódnicy. Przez chwilę milczała.

- Musiałam się zabrudzić, kiedy mocowałyśmy się z Lillian w garderobie - powiedziała wreszcie.

Nie jestem aż taki naiwny, za jakiego mnie bierze - pomyślałem, ale na głos powiedziałem tylko:

- Przypuszczalnie.

Rollo Peters zrównał się z nami, kiedy obchodziliśmy parkiet dookoła.

- Kim jest ta dziewczyna? - zapytałem wskazując nr 7.

- To partnerka Guya Duke'a. Nazywa się Rosemary Loftus.

- Masz na nią chrapkę - powiedziała Gloria.

- Zapytałem tylko, kto to taki. Wcale się do niej nie podwałam.

- I nie musisz - stwierdziła Gloria. - Ty mu powiedz, Rollo.

- Mnie w to nie mieszaj - odparł Rollo kręcąc głową. - Nic o niej nie wiem.

- A o co takiego chodzi? - zapytałem Glorię, kiedy Rollo przyłączył się do Jamesa i Ruby Batesów.

- Aż taki z ciebie naiwniak? Słowo honoru, to niemożliwe. - Roześmiała się potrząsając głową z niedowierzaniem.

- No dobrze, dajmy już temu spokój.

- Przecież ta dziewczyna to największa zdzira na zachód od Missisipi. Zdzira wykształcona w ekskluzywnych szkołach, a jak się już taka trafi, to najgorsze prześcignie. Nawet dziewczęta nie mogą się pójść załatwić, kiedy ona jest w pobliżu...

- Jak się masz, Gloria - zawołała pani Layden. Siedziała na swoim zwykłym miejscu we frontowej łoży, w drugim końcu sali, z dala od podium mistrza ceremonii. Podeszliśmy z

Glorią do barierki. - Jak się miewa moja ulubiona para? - zapytała.

- Doskonale - odparłem. - A pani jak się miewa?

- Też doskonale. Dzisiaj zamierzam długo tu posiedzieć. Widzicie? - Pokazała koc i koszyk z jedzeniem leżące na krześle obok. - Zostanę, żeby was dopingować.

- Będzie nam to potrzebne - powiedziała Gloria.

- Czemu nie weźmie pani łoża trochę dalej, nie tak blisko Palmiarni? - zapytałem. - Później, kiedy wszyscy zaczynają pić, w barze robi się dość hałaśliwie.

- Mnie to nie przeszkadza - odrzekła z uśmiechem. - Chcę być tutaj w czasie wyścigu, żeby widzieć, jak zawodnicy biorą zakręty. Nie chcielibyście przejrzeć popołudniowej gazety? - spytała wyciągając ją spod koca.

- Owszem - powiedziałem. - Chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje na świecie. Jaka jest pogoda? Czy świat bardzo się zmienił?

- Żarty sobie ze mnie stroisz? - spytała.

- Nie, skądże znowu... tylko wydaje mi się, że spędziłem na tej sali milion lat. Dziękuję pani za gazetę.

Kiedyśmy się od niej oddalili, rozpostarłem gazetę. W oczy rzuciły mi się od razu duże czarne nagłówki.

MŁODY MORDERCA UJĘTY

PODCZAS MARATONU TANECZNEGO

* * *

ZBIEGŁY KRYMINALISTA BRAŁ

UDZIAŁ W KONKURSIE NA PLAŻY

W dniu wczorajszym detektywi ujęli mordercę, uczestnika maratonu tanecznego, który odbywa się obecnie przy moło w Santa Monica. Jest nim dwudziestosześcioletni Włoch Giuseppe Lodi, zbiegły przed ośmioma miesiącami z więzienia w mieście Joliet, w stanie Illinois, po odsiedzeniu czterech lat z wyroku skazującego go na pięćdziesiąt lat za napad rabunkowy i zamordowanie sędziwego aptekarza w Chicago.

Lodi, uczestniczący w konkursie pod pseudonimem Mario Petrone, nie stawiał oporu, kiedy detektywi Bliss i Voight z Wydziału do Spraw Rabunków dokonywali aresztowania. Funkcjonariusze zajrzeli na salę, gdzie odbywa się maraton, bo jak mówią, chcieli się rozerwać po skończonej służbie, i rozpoznali Lodię na podstawie zdjęcia z popularnego miesięcznika detektywistycznego, który zamieszcza fotografie i rysopisy poszukiwanych

przestępców.

- Wyobrażasz to sobie? - powiedziałem. - Byłem tuż obok niego, kiedy to się stało. Strasznie mi go żal.

- Dlaczego? - spytała Gloria. - A czy nam jest lepiej?

Pedro Ortega, Mack Aston i kilkoro innych zebrało się wokół nas; rozmawiali z ożywieniem. Oddałem gazetę Glorii, a sam się oddaliłem.

Potworna historia - myślałem. - Pięćdziesiąt lat! Biedny Mario... *A kiedy Mario dowie się o mnie, jeśli w ogóle się dowie, pomyśli: „Biedak! Martwił się o mnie, ale to jego czeka stryzynek...”*

Socks Donald przygotował dla nas niespodziankę, o czym dowiedzieliśmy się na następnej przerwie. Wydał stroje, w które mieliśmy się przebierać na wyścigi: tenisówki, białe szorty i białe koszulki. Wszyscy chłopcy dostali szerokie skórzane pasy z małymi uchwytyami po obu stronach, takimi jak u walizek. Miały się ich na zakrętach trzymać nasze partnerki. Początkowo uważałem to za strasznie głupie, ale później stwierdziłem, że Socks Donald wiedział, co robi. .

- Słuchajcie, dzieci - powiedział. - Dzisiaj wyruszamy po pierwszy milion. Na wyścig zjeździe się mnóstwo gwiazd filmowych, a za nimi wszędzie ciągną tłumy. Jedna para przegra dziś wieczór, jedna para będzie co wieczór przegrywać. Nie życzę sobie żadnych narzekania, bo to jest uczciwe. Wszyscy mają równe szanse. Przyznamy wam dodatkowy czas na przebranie się i na zdjęcie kostiumów. Przy okazji chciałem powiedzieć, że po południu rozmawiałem z Mariem Petrone. Prosił mnie, żebym pożegnał wszystkich jego kumpli. No, nie zapomnijcie pokazać gościom, że nie wyrzucili pieniędzy na darmo.

Zdziwiłem się, że wspomina Maria, bo poprzedniego wieczoru, podczas aresztowania, chciał go pobić.

- Myślałem, że jest wściekły na Maria - powiedziałem do Rolla.

- Już nie. Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. Gdyby nie to, nikt by nie wiedział o maratonie. Właśnie takiego rozgłosu prasowego było nam potrzeba. Ludzie nie przestawali zamawiać miejsc przez całe popołudnie.

**...ty, Robercie Syverten,
będziesz wydany...**

8

Tego wieczora po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia maratonu sala była zapchana. W Palmiarni także panował tłok i przy barze aż huczało od głośnych śmiechów i rozmów. Rollo miał rację - mówiłem sobie. - Aresztowanie Maria to prawdziwe szczęście dla Socksa. (Nie wszyscy ci ludzie przyszli jednak z uwagi na rozgłos w prasie. Później dowiedziałem się, że Socks reklamował maraton za pośrednictwem kilku rozgłośni radiowych.)

Przechadzaliśmy się w naszych kostiumach, a tymczasem trenerzy i pielęgniarki przygotowywali parkiet do wyścigu.

- Czuję się, jakbym był goły - powiedziałem do Glorii.

- Wyglądasz, jakbyś był goły - przyznała. - Powinieneś mieć suspensorium.

- Nie dali mi. Czy aż tak bardzo widać?

- Nie tylko o to chodzi. Możesz dostać przepukliny. Powiedz Rollowi, żeby jutro ci kupił. Są w trzech rozmiarach: małe, średnie i duże. Ty poproś o mały.

- No, ale nie jestem tu sam - powiedziałem patrząc na innych chłopców.

- Oni się tym puszą - stwierdziła Gloria.

Większość zawodników bardzo zabawnie wyglądała w strojach wyścigowych. Nigdy w życiu nie widziałem takiej dziwnej zbieraniny rąk i nóg.

- Spójrz - powiedziała Gloria ruchem głowy wskazując Jamesa i Ruby Batesów. - Niezłe, co?

Widać było, że Ruby spodziewa się dziecka. Wyglądało to tak, jakby pod koszulkę wepchnęła jasiak.

- Z całą pewnością rzuca się w oczy - przyznałem. - Ale pamiętaj, nic ci do tego.

- Panie i panowie - mówił do mikrofonu Rocky - przed rozpoczęciem tego sensacyjnego wyścigu pragnę zwrócić uwagę państwa na jego regulamin. Z uwagi na liczbę zawodników wyścig będzie się odbywał w dwóch grupach; po czterdzieści par w każdej.

Drugi wyścig odbędzie się w kilka minut po pierwszym, a o przydziale do grupy zadecyduje losowanie. Wyścigi w dwóch grupach będą się odbywały przez tydzień i codziennie z każdej z nich odpadnie ta para, która zrobi najmniej okrążeń. Po tygodniu zostanie już tylko jedna grupa. Dzieciaki będą biegać po torze przez piętnaście minut, chłopcy przestępując z pięty na palce, a dziewczęta truchtem albo w dowolny sposób. Dla zwycięzców nie wyznaczono nagrody, ale gdyby ktoś z państwa, panie i panowie, zechciał ufundować jakąś nagrodę pieniężną dla zachęty, dzieciaki na pewno to docenią. Proszę zwrócić uwagę na łóżka pośrodku parkietu, na pielęgniarki i trenerów stojących w pogotowiu z częstkami pomarańczy, z wilgotnymi ręcznikami, z solami trzeźwiącymi i na lekarza odpowiedzialnego za to, że pobiegną tylko ci, co są w dobrej formie.

Młody lekarz stał wewnątrz owalu ze stetoskopem zawieszonym na szyi i bardzo ważną miną.

- Chwileczkę, panie i panowie - powiedział Rocky - jedną chwileczkę. Trzymam w ręce banknot dziesięciodolarowy dla zwycięzcy dzisiejszego wyścigu, ofiarowany przez wielką gwiazdę ekranu, pannę Ruby Keeler we własnej osobie. Brawa dla panny Keeler, panie i panowie...

Ruby Keeler wstała odpowiadając na oklaski ukłonem.

- Oto właściwe podejście, panie i panowie - mówił Rocky. - A teraz, proszę państwa, potrzebni nam będą sędziowie do liczenia okrążeń każdej pary. - Umilkł, bo musiał otrzeć pot z twarzy. - A więc, panie i panowie, chciałbym, żeby ci sędziowie zgłosili się z widowni, w sumie czterdzieści osób. Proszę tutaj... i proszę się nie bać...

Widzowie przez chwilę siedzieli nieruchomo, po czym pani Layden przelazła pod barierką i weszła na parkiet. Mijając Głorię i mnie uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo.

- Może jednak na coś się przyda - powiedziała Gloria.

Za panią Layden poszli inni i w krótkim czasie dobrano komplet sędziów. Rollo wręczył każdemu kartkę i ołówek i pousadzał ich dokoła estrady.

- Doskonale, panie i panowie - powiedział Rocky. - Mamy wystarczającą liczbę sędziów. Teraz przeprowadzimy ciągnięcie do pierwszego biegu. W tym oto kapeluszu znajduje się osiemdziesiąt numerów, my zaś wylosujemy czterdzieści. Pozostałe pary wezmą udział w drugiej gonitwie. A teraz poproszę kogoś, żeby zechciał losować numery. Może szanowną panią? - zwrócił się do pani Layden podsuwając kapelusz. Pani Layden, uśmiechnięta, skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- To wielka chwila w jej życiu - sarkastycznie stwierdziła Gloria.

- Ja uważam ją za bardzo miłą staruszkę.

- Bzdury - powiedziała Gloria.

Pani Layden zaczęła wyciągać i podawać kartki Rocky'emu, który odczytywał je przed mikrofonem.

- Pierwsza jest para nr 105 - oznajmił. - Proszę przejść tutaj, dzieci. Wszystkie wylosowane pary staną po tej stronie estrady.

Pani Layden wyciągała numer, Rocky natychmiast go odczytywał, po czym przekazywał parę jednemu z sędziów, który miał liczyć jej okrążenia i prowadzić zapis.

- Para nr 22 - powiedział Rocky wręczając numer młodemu człowiekowi w okularach.

- Chodź - zwróciłem się do Glorii. Był to nasz numer.

Usłyszałem, jak pani Layden mówi do Rocky'ego:

- Chciałabym wziąć ten numer. To moja ulubiona para.

- Bardzo mi przykro, proszę pani - odparł Rocky. - Musimy przestrzegać kolejności.

Po skończonym losowaniu, kiedy wszyscy ustawiliśmy się na starcie, Rocky powiedział:

- W porządku, panie i panowie, jesteśmy prawie gotowi. A teraz, dzieci, pamiętajcie. Chłopcy biegają przestępując z pięty na palce. Jeśli jedno z was będzie musiało z jakiegóż przyczyny odejść do punktu opatrunkowego, drugie będzie musiało zrobić dwa okrążenia, ale policzy się je za jedno. Da pani sygnał do startu, panno Keeler?

Aktorka skinęła głową, a Rocky wręczył Rollovi pistolet. Rollo podał go pannie Keeler siedzącej we frontowej łoży z dziewczyną, której nie znałem. Jolsona z nimi nie było.

- W porządku, panie i panowie, chwila cierpliwości - powiedział Rocky. - Proszę, panno Keeler... - Dał jej znak ręką.

Przepchaliśmy się z Glorią koło estrady na linię startu i kiedy panna Keeler pociągnęła za spust, wyskoczyliśmy do przodu, roztrącając innych. Gloria trzymała mnie za ramię.

- Trzymaj się paska - wrzasnąłem przedzierając się przez stłoczoną masę.

Jedni potykali się o drugich, których próbowali wyminąć, ale już po minucie rozproszyliśmy się i zaczęliśmy z łoskotem okrążać wyznaczony tor. Gloria musiała biec truchtem, żeby nie zostać w tyle, bo takie długie stawiałem kroki.

- Z pięty na palce - powiedział Rollo. - Ty biegniesz zwyczajnie.

- Staram się jak mogę - odparłem.

- Z pięty na palce - powtórzył. - O tak...

Stanął przede mną i pokazał, o co mu chodzi. Nauczyć się tego nie było trudno. Sztuka polegała na odpowiednim zsynchronizowaniu ruchów rąk i barków. Wykombinowałem to

całkiem łatwo. Przyszło mi jakby samo z siebie. Było takie proste, że przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy już kiedyś nie przestępowałem z pięty na palce. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to było, więc widocznie nie przestępowałem. Mam znakomitą pamięć. Po jakichś pięciu minutach, kiedy wyraźnie wysunęliśmy się już do przodu, poczułem, że Gloria traci napęd; to znaczy, przestaje o własnych siłach pokonywać odległość. Wlokłem ją za sobą. Odnosiłem wrażenie, że usiłuje przepiłować mi paskiem żołądek.

- Za szybko? - zapytałem zwalniając.

- Tak - odpowiedziała strasznie zasapana.

Jedna z pielęgniarek zarzuciła mi wilgotny ręcznik kąpielowy na szyję, przez co omal nie straciłem równowagi.

- Wytrzymaj sobie nim twarz - powiedziałem do Glorii.

Akurat w tym momencie wyminęła nas para nr 35, która chciała przed nami wziąć zakręt. Wysiłek był dla dziewczyny za wielki. Zatoczyła się i puściła pasek.

- Pomoc dla numeru 35! - ryknął Rocky Gravo, ale zanim pielęgniarka czy trener zdążyli podbiec, dziewczyna upadła na twarz i przeleciała poślizgiem z pół metra po podłodze. Gdybym był sam, mógłbym ją wyminąć, ale bałem się, że uskakując w bok przewrócę uwieszoną u mojego paska Glorię. (Branie tych zakrętów z uciepioną pasą dziewczyną przypominało zabawę w węża.)

- Uważaj! - krzyknąłem, lecz ostrzeżenie nie zdało się już na nic. Gloria potknęła się o ciało leżącej i pociągnęła mnie za sobą, a kiedy oprzytomniałem, trzy czy cztery pary leżały obok nas na podłodze i próbowały się podnieść. Rocky powiedział do mikrofonu coś, od czego tłumnie zgromadzonym widzom zaparło dech w piersi.

Pozbierałem się jakoś. Nie odniosłem większych obrażeń, tylko sądząc po pieczeniu kolan zdarłem z nich skórę. Pielęgniarki i trenerzy rzucili się na ratunek, odciągnęli dziewczyny i przenieśli Glorię i Ruby na łóżka w punkcie opatrunkowym.

- Nic groźnego, panie i panowie - powiedział Rocky. - Zwykły mały karambol... normalna rzecz podczas wyścigu... dopóki dziewczęta są w punkcie opatrunkowym, chłopcy muszą robić po dwa okrążenia, które zalicza się parze jako jedno pełne okrążenie. W porządku, dzieci, przepuście tych pojedynczych zawodników na wewnętrzną stronę bieżni.

Zacząłem iść bardzo szybko, żeby nie stracić naszej dobrej pozycji. Teraz, bez uciepionej pasa Glorii, czułem się lekki jak piórko. Zajęli się nią pielęgniarka i trener, a lekarz osłuchiwał jej serce przez stetoskop. Pielęgniarka podtykała Glorii pod nos sole trzeźwiące, trener masował jej nogi. Inny trener wraz z pielęgniarką poddawali Ruby tym samym zabiegom. Zrobiłem cztery okrążenia, zanim Gloria wróciła na parkiet. Była bardzo

blada.

- Dasz radę? - zapytałem zwalniając kroku.

Skinęła głową. Publiczność biła brawo i tupiała, Rocky mówił coś do mikrofonu. Do wyścigu włączyła się Ruby, też strasznie zmordowana.

- Wolnego - powiedział idący koło mnie Rollo. - Nic ci nie grozi.

Wtem poczułem w lewej nodze ostry ból, który przeszył mnie całego, o mało nie rozsadzając czaszki. Boże wielki - pomyślałem w duchu. - To paraliż!

- Tup, tup tą nogą - powiedział Rollo.

Nie mogłem jej zgiąć. Po prostu odmawiała posłuszeństwa. Była sztywna jak kołek. Przy każdym kroku ból przewierał mi głowę.

- Para 22 ma kurcz w nodze - oznajmił Rocky przez mikrofon. Trenerzy, proszę o pomoc...

- No tup, tup tą nogą - powtórzył Rollo.

Tupnałem o podłogę, ale ból był jeszcze bardziej dotkliwy.

- Tup, tup...

- Ach, ty draniu - powiedziałem - to boli...

Dwóch trenerów chwyciło mnie za ramiona i pomogło dojść do punktu opatrunkowego.

- Proszę popatrzeć na dzielną dziewczynę z pary nr 22 - mówił do mikrofonu Rocky - na małą Glorię Beatty. Cóż to za dzielny dzieciak! Biegnie sama, bo jej partnera złapał kurcz i poszedł na punkt opatrunkowy. Spójrzcie, jak pędzi! Zróbcie jej miejsce po wewnętrznej stronie, dzieci.

Jeden z trenerów przytrzymał mnie za ramiona, a tymczasem drugi masował mi nogę, siekąc mięśnie kantem dłoni.

- To boli - powiedziałem.

- Spokojnie - mówił przytrzymując mnie trener. - Nigdy jeszcze nie miałeś kurczu?

Nagle coś przeskoczyło mi w nodze i ból raptownie ustąpił.

- Okej - powiedział trener.

Wstałem i czując się całkiem dobrze wróciłem na tor, gdzie musiałem zaczekać na Glorię. Biegła truchtem po przeciwległej stronie, a głowa jej podskakiwała przy każdym kroku. Musiałem czekać, aż zrobi okrążenie. (Zgodnie z regulaminem należało po wyjściu z punktu opatrunkowego podjąć wyścig w tym miejscu, w którym się go przerwało.) Kiedy Gloria zbliżyła się do mnie, zacząłem iść i po chwili uczepiła się pasa.

- Jeszcze dwie minuty - oznajmił Rocky. - Mały doping, panie i panowie...

Zaczęli bić brawo i tupać nogami o wiele głośniej niż przedtem..

Inne pary wyrywały do przodu, więc dodałem trochę gazu. Byłem prawie pewny, że nie zajmujemy ostatniego miejsca, ale ponieważ oboje leżeliśmy na punkcie opatrunkowym, nie chciałem ryzykować wyeliminowania. Kiedy wystrzał z pistoletu obwieścił zakończenie biegu, połowa par zwała się na podłogę. Obróciwszy się zobaczyłem szkliste oczy Glorii. Wiedziałem, że zaraz zemdleje.

- Hej! - krzyknąłem na jedną z pielęgniarek, ale Gloria już się zaczęła słać, więc musiałem ją podtrzymać. Nie mogłem zrobić nic więcej, jak tylko zanieść ją do punktu opatrunkowego. - Hej! - wrzasnąłem na któregoś z trenerów. - Panie doktorze!

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Znadto byli zajęci zbieraniem tych, co upadli. Widzowie stali na ławkach wyjąc z zachwytu.

Zacząłem nacierać Glorii twarz wilgotnym ręcznikiem. Wtem wyrosła przy mnie pani Layden z buteleczką soli trzeźwiących, którą wzięła ze stolika przy łóżku.

- Idź do garderoby - powiedziała. - Gloria zaraz się ocknie. Nie przywykła do takiego wysiłku.

Płynąłem statkiem do Port Saidu, w drodze na Saharę, gdzie miałem kręcić ten film. Byłem sławny i bardzo bogaty. Byłem najwybitniejszym reżyserem na świecie... wybitniejszym niż Siergiej Eisenstein. Krytycy z „Vanity Fair” i „Esquire” zgodnie obwołali mnie geniuszem. Przechadzałem się po pokładzie myśląc o maratonie tanecznym, w którym kiedyś brałem udział, zastanawiając się nad losami wszystkich dziewcząt i chłopców, gdy wtem coś z potworną siłą wyrznęło mnie w tył głowy i pozbawiło przytomności. Miałem wrażenie, że gdzieś lecę.

W wodzie zacząłem wymachiwać rękami i nogami, bo się bałem rekinów. Coś otarło się o mnie, więc wrzasnąłem przerażony.

Obudziłem się w lodowatej wodzie. Natychmiast przypomniałem sobie, gdzie jestem. Śniło mi się coś koszmarnego - pomyślałem. To coś, co otarło się o mnie, było stufuntową bryłą lodu. Leżałem w garderobie, w niewielkim zbiorniku z wodą. Ciągle jeszcze miałem na sobie kostium wyścigowy. Wylazłem z wody dygocząc, a jeden z trenerów podał mi ręcznik.

Nadeszli inni trenerzy; nieśli nieprzytomnego zawodnika, którym okazał się Pedro Ortega. Zataszczyli go do zbiornika i wrzucili do środka.

- To samo było ze mną? - zapytałem.

- Jakbyś zgadł - odparł trener. - Zemdlełeś schodząc z parkietu. - Pedro płacząco zagadał po hiszpańsku i próbując się wydostać chlapał wodą dokoła. Trener wybuchnął

śmiechem. - Muszę przyznać, że Socks wiedział, co robi, kiedy kazał wstawić ten zbiornik.
Lodowata woda migiem ich cuci. Ściągaj te mokre gacie i buty.

**...przez szeryfa okręgu Los Angeles
dyrektorowi więzienia stanowego...**

9

UPŁYNEŁO GODZIN.....	752
POZOSTAŁO PAR.....	26

Wyścig był morderczy. Z górą pięćdziesiąt par odpadło w ciągu dwóch tygodni. My z Gloria raz czy dwa razy byliśmy o włos od wyeliminowania, ale zawsze jakimś cudem nam się udawało. Po zmianie techniki nie mieliśmy już trudności: nie próbowaliśmy wygrywać, nie zależało nam na miejscu, byle nie zająć ostatniego.

Znaleźliśmy także patrona: firmę Nie Tuczące Piwo Jonathan. Stało się to w samą porę. Mieliśmy podarte buty i ubranie w strzępach. Pani Layden namówiła na to dyrektora firmy. *Niech pani namówi świętego Piotra, żeby mnie wpuścił do nieba, proszę pani. Bo chyba niedługo się tam zjawię.* Dali nam po trzy pary obuwia, trzy pary szarych flanelowych spodni i trzy swetry z wypisaną na plecach nazwą piwa.

Podczas maratonu przybrałem pięć funtów na wadze i zaczynałem już myśleć, że może jednak mamy szansę zająć pierwsze miejsce i wygrać ten tysiąc dolarów. Ale Gloria była w bardzo pesymistycznym nastroju.

- Co będziesz robił, jak to się skończy? - spytała.

- Dlaczego mam się tym martwić? Jeszcze się nie skończyło. Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparłem. - Już od dawna nie powodziło nam się tak dobrze: wiemy przynajmniej, że dostaniemy następny posiłek.

- Wolałabym nie żyć - powiedziała. - Wolałabym, żeby Pan Bóg mnie ukatrupił.

Powtarzała to wciąż od nowa, aż mi zaczynało działać na nerwy.

- Któregoś dnia Pan Bóg odda ci tę drobną przysługę.

- Chciałabym, żeby to zrobił. Chciałabym mieć na tyle odwagi, żeby go w tym wyręczyć.

- Jeśli wygramy maraton, będziesz mogła wziąć swoje pięćset dolarów i gdzieś pojechać. Może wyjść za mąż. Zawsze mnóstwo facetów chce się żenić. Nigdy o tym nie myślałaś?

- Myślałam bardzo często. Ale nigdy bym nie mogła wyjść za takiego człowieka, za jakiego bym chciała. A tych, co by się chcieli ze mną ożenić, ja bym nie chciała. Złodziei, alfonsów i tym podobnych.

- Wiem, dlaczego jesteś taka ponura - powiedziałem. - Za parę dni to minie. Nastrój ci się poprawi.

- To nie ma nic do rzeczy. Krzyż mnie nawet nie boli. Nie o to chodzi. Cały interes przypomina karuzelę. Jak się skończy, znajdziemy się tam, gdzie przedtem.

- Mieliliśmy co jeść i gdzie spać - stwierdziłem.

- No i co z tego, kiedy się tylko odwleka coś, co i tak jest nieuniknione?

- Hej, Piwo Jonathan - zawołał Rocky Gravo. - Chodźcie tu do mnie.

Stał obok podium razem z Socksem Donaldem. Podeszliśmy do nich.

- Nie mielibyście ochoty zarobić stówki? - spytał Rocky.

- Jak? - chciała wiedzieć Gloria.

- No więc, dzieci - powiedział Socks Donald - przyszedł mi świetny pomysł do głowy i liczę na waszą pomoc.

- Widać wpływ Bena Bernie - zwróciła się Gloria do mnie.

- Co? - spytał Socks.

- Nic - odparła Gloria. - No więc liczy pan na pomoc.

- Tak - potwierdził Socks. - Chcę, żebyście wzięli ślub przed zgromadzoną publicznością.

- Żebyśmy wzięli ślub? - powtórzyłem.

- Chwileczkę - powiedział Socks. - To całkiem niezły interes. Każde z was dostanie pięćdziesiąt dolarów, a po maratonie możecie się rozwieść, jak zechcecie. To nie musi być nic trwałego. Chodzi tylko o widowisko. Co wy na to?

- Ja na to, że pan zwariował - powiedziała Gloria.

- Ona nie chciała tego powiedzieć, proszę pana - próbowałem ją tłumaczyć.

- Oczywiście, że chciałam. Nie mam nic przeciwko temu, żeby wyjść za mąż - poinformowała Socksa - ale czemu pan nie wybierze Gary Coopera albo jakiegoś ważnego producenta czy reżysera? Ani mi się śni wychodzić za tego faceta. Sama z trudem daję sobie radę...

- To nie musi być nic trwałego - wyjaśnił Rocky. - Przecież chodzi tylko o widowisko.

- Słusznie - przytaknął Socks. - Oczywiście obrzęd będzie się musiał odbyć bez lipy, będziemy musieli to zrobić, żeby zwabić tłumy. Ale...

- Nie trzeba ślubu, żeby zwabić tłumy - powiedziała Gloria. - Sala i tak pęka wprost w szwach. Czy to zła zabawa patrzeć, jak te biedaki co wieczór walą się na parkiet?

- Nie rozumiesz, o co chodzi - stwierdził Socks ze zmarszczką na czole.

- Rozumiem aż za dobrze - odparła Gloria. - Rozumiem lepiej niż pan.

- Chcesz się wkłęcić do filmu i my ci dajemy szansę - tłumaczył Socks. - Już obgadałem w paru sklepach, że przyślą ci ślubną suknię i pantofle, a salon piękności zrobi cię na bóstwo. Zejdzie się kupa reżyserów i kierowników produkcji i wszyscy będą patrzyli tylko na ciebie. To jedyna szansa w życiu. Co ty na to, chłopcze? - zwrócił się do mnie.

- Nie wiem... - odpowiedziałem wymijająco, żeby go nie urazić. Był przecież organizatorem maratonu. Wiedziałem, że jak się na nas rozzłości, równie dobrze możemy się uważać za zdyskwalifikowanych.

- On się nie zgadza - powiedziała Gloria.

- Dziewczyna myśli za niego - zauważył sarkastycznie Rocky.

- Doskonale. - Socks wzruszył ramionami. - Wam się ta setka nie przyda, ale może przyda się jakiejś innej parze. A ty - zwrócił się do mnie - przynajmniej wiesz, kto tu jest pod pantoflem. - Obaj z Rockym się roześmiali.

- Ty nie potrafisz dla nikogo być grzeczną, co? - zapytałem Głorię, kiedy odeszliśmy na bok. - Teraz lada chwila możemy wylądować na bruku.

- Dziś czy jutro, mała różnica - odparła.

- Nie widziałem jeszcze drugiego takiego ponuraka jak ty - powiedziałem. - Czasem mi się wydaje, że dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś nie żyła.

- Wiem o tym.

Kiedy znów znaleźliśmy się koło podium, zobaczyłem, że Socks i Rocky tłumaczą coś z powagą Vee Lovellowi i Mary Hawley, parze nr 71.

- Wygląda, jakby Socks wbijał jej coś do łba - odezwała się Gloria. - Ta krowa nie potrafi się od tego wykręcić.

Dołączyli do nas James i Ruby Bates i szliśmy we czwórkę. Przyjaźniliśmy się znowu, odkąd Gloria przestała namawiać Ruby na skrobankę.

- Czy Socks proponował wam, żebyście się pobrali? - spytała Ruby.

- Tak - odparłem. - A skąd wiesz?

- Wszystkim proponował.

- Załatwiliśmy go odmownie - powiedziała Gloria.

- Publiczny ślub wcale nie jest zły - stwierdziła Ruby. - Myśmy taki wzięli...

- Naprawdę? - Byłem zdziwiony. James i Ruby mieli tyle godności, tacy byli spokojni i zakochani, że nie potrafiłem wyobrazić ich sobie biorących ślub na oczach zgromadzonej publiczności.

- Pobraliśmy się podczas maratonu tanecznego w Oklahomie - wyjaśniła. - I dostaliśmy różne rzeczy wartości jakichś trzystu dolarów.

- Jej stary dał nam w prezencie ślubnym dubeltówkę - powiedział ze śmiechem James.

Nagle za naszymi plecami wrzasnęła dziewczyna. Obróciliśmy się. Była to Lillian Bacon, partnerka Pedra Ortegi. Cofała się do tyłu, próbując mu uciec. Pedro dogonił ją i wyrznął pięścią w twarz. Usiadła na podłodze i jeszcze raz wrzasnęła. Pedro chwycił ją za gardło obiema rękami, dusił i usiłował podnieść na nogi. Miał minę szaleńca. Nie uległo wątpliwości, że chce ją zamordować.

Wszyscy zaraz pognali w jego stronę. Zrobiło się straszne zamieszanie.

My z Jamesem dopadliśmy Pedra pierwsi, złapaliśmy go i oderwali od Lillian. Siedziała na podłodze sztywna, z rękami do tyłu, z odrzuconą głową i otwartymi ustami - jak na fotelu dentystycznym.

Pedro mamrotał coś pod nosem i wydawało się, że nas nie poznaje. Odepchnięty przez Jamesa zatoczył się do tyłu. Ja chwyciłem Lillian pod pachy i pomogłem jej wstać. Dygotała jak tancerka wykonująca taniec brzucha.

Socks i Rocky dopadli Pedra, łapiąc go za rękę.

- O co ci chodzi? - ryknął Socks.

Pedro popatrzył na niego i bezgłośnie poruszył wargami. Ale kiedy dojrzał Rocky'ego, twarz mu się zmieniła, odmalowała się na niej wściekłość. Wtem wyrwał się, uskoczył do tyłu i sięgnął do kieszeni.

Ktoś krzyknął:

- Uwaga!...

Pedro runął do przodu z nożem w ręce. Rocky spróbował zrobić unik, wszystko działo się jednak w takim tempie, że nie zdążył. Nóż rozorał mu lewe ramię o dwa cale poniżej barku. Rocky z wrzaskiem pognął przed siebie. Pedro zawrócił i byłby go ścigał, ale nim zrobił krok, Socks rąbnął go w tył głowy skórzaną pałką obciążoną ołowiem. Odgłos uderzenia słychać było mimo muzyki nadawanej przez radio. Łudząco przypominał odgłos, jaki wydaje stuknięty palcem arbuz. Pedro stał z idiotycznym uśmiechem, kiedy Socks wymierzał mu drugi cios pałką.

Opuścił ręce i nóż potoczył się na podłogę. Zachwiał się na nogach, po czym upadł jak

długi.

- Zabierzcie go stąd - rozkazał Socks schylając się po nóż.

James Bates, Mack Aston i Vee Lovell wynieśli Pedra do garderoby.

- Proszę pozostać na swoich miejscach, panie i panowie - zwrócił się Socks do widowni. - Proszę...

Ja podtrzymałem Lillian od tyłu. Wciąż jeszcze dygotała.

- Co to było? - zapytał ją Socks.

- Zarzucił mi zdradę. Potem mnie uderzył i zaczął dusić.

- Dalej, dzieci - polecił Socks. - Zachowujcie się jak gdyby nigdy nic. Hej, siostró, proszę odprowadzić tę dziewczynę do garderoby. - Socks dał znak stojącemu na estradzie Rollowi i syrena zawyła na przerwę o kilka minut wcześniej. Pielęgniarka zabrała Lillian, a wszystkie dziewczęta odprowadziły ją do garderoby.

Wychodząc słyszałem, jak Rollo mówi coś zdawkowym tonem przez megafon.

Rocky stał nad umywalką, bez marynarki i koszuli, i przyciskał do rany garść papierowych ręczników. Krew spływała mu po ramieniu, ściekała po palcach.

- Lepiej zawołać doktora - powiedział Socks.

- Gdzież, u licha, podziewa się doktor? - ryknął na całe gardło.

- Tutaj - odrzekł lekarz wychodząc z ubikacji.

- Raz pan jest potrzebny i akurat wtedy siedzi pan na tyłku - powiedział Socks. - Proszę zająć się Rockym.

Pedro leżał na podłodze, a Mack Aston stał nad nim rozkraczony i ugniatał mu brzuch jak ratownik niedoszłemu topielcowi.

- Uwaga... - Vee Lovell przyniósł wiadro wody. Mack cofnął się do tyłu, a Vee chlusnął wodą w twarz Pedra, co wcale nie poskutkowało. Pedro dalej leżał jak kłoda.

James Bates przyniósł i wylał na niego drugie wiadro wody. Pedro zaczął zdradzać oznaki życia. Poruszył się, otworzył oczy.

- Przecknął się - zauważył Vee Lovell.

- Chyba zawiozę Rocky'ego moim samochodem do szpitala - powiedział lekarz zdejmując fartuch. - Ma głębokie cięcie, prawie do kości. Będą musieli założyć szwy. Kto to zrobił?

- Ten drań. - Socks wskazał Pedra nogą.

- Musiał mieć brzytwę - powiedział lekarz.

- Proszę. - Socks podał mu nóż. W drugiej ręce trzymał skórzaną pałkę, której rzemyk

miął jeszcze założony na przegub.

- Na jedno wychodzi - stwierdził lekarz i oddał mu nóż.

Pedro usiadł z oszołomioną miną rozcierając szczękę.

Nie dostałeś w szczękę - zwróciłem się w myśli do niego. - Oberwałeś w tył głowy.

- Na litość boską, jedźmy już - ponaglał Rocky lekarza: - Krwawię jak zarzynany prosiak. A ty, skurwielu jeden - zagroził Pedrowi - wylądujesz w sądzie.

Pedro patrzył na niego z wściekłością, ale się nie odzywał.

- Nie będzie włóczenia nikogo po sądach - oznajmił Socks. - Już i tak ledwo mogę wybronić budę przed zamknięciem. A na drugi raz uważaj, komu przyprawiasz rogi.

- Nikomu nie przyprawiałem rogów - zaprotestował Rocky.

- Gadaj zdrow - uciął Socks. - Proszę go wyprowadzić tylnym wyjściem, doktorze.

- Idziemy, Rocky - powiedział lekarz.

Rocky ruszył do drzwi. Prowizoryczny opatrunek z gazy już przemakał. Lekarz zarzucił mu marynarkę na ramiona i wyszli.

- Chcesz, żeby ten konkurs diabli wzięli? - zapytał Socks Pedra, poświęcając mu teraz całą uwagę. - Czemu nie zaczekałeś, aż się skończy, i dopiero potem się z nim nie rozprawiłeś?

- Chciałem poderżnąć mu gardło - stwierdził Pedro ze spokojem, starannie wymawiając angielskie słowa. - Uwiódł mi narzeczoną.

- Jeśli uwiódł ją tutaj, musi być czarodziejem - powiedział Socks. - Nie ma tu miejsca, gdzie można by kogoś uwieść.

Znam takie miejsce - pomyślałem sobie.

Do garderoby wszedł Rollo Peters.

- Wy, chłopcy, powinniście się przespać. Gdzie Rocky? - zapytał rozglądając się dookoła.

- Doktor zawiózł go do szpitala - wyjaśnił Socks. - Jak tam publiczność?

- Już się uspokoiła - odparł Rollo. - Powiedziałem, że to próba, bo przygotowujemy nową niespodziankę. Co jest z Rockym?

- Nic wielkiego. Ten śmierzdel o mały włos nie urznął mu ręki. - Socks podał Rollowi nóż Pedra. - Proszę, zabierz go i upłynnij. Będziesz zapowiadał, dopóki się nie wyjaśni, co z Rockym.

Pedro pozbierał się z podłogi.

- Strasznie mi przykro, że to się stało przy widzach - powiedział. - Przepraszam najmocniej, ale jestem bardzo nieopanowany...

- Mogło być gorzej - stwierdził Socks. - Mogło się to stać wieczorem, przy pełnej widowni. Jak twoja głowa?

- Boli - odparł Pedro. - Bardzo mi przykro, że to się stało. Chciałem wygrać ten tysiąc dolarów.

- Masz jeszcze szansę - powiedział Socks.

- To znaczy, że nie jestem zdyskwalifikowany? To znaczy, że pan mi przebacza?

- Przebaczam ci - odrzekł Socks chowając pałkę do kieszeni.

...iżby rzeczony dyrektor więzienia...

10

UPŁYNEŁO GODZIN	783
POZOSTAŁO PAR	26

- Panie i panowie - zapowiedział Rocky - kierownictwo prosiło mnie, żebym przed rozpoczęciem wyścigu poinformował państwa o publicznej ceremonii ślubu, jaka odbędzie się tutaj od dziś za tydzień, kiedy z własnej, nieprzymuszonej woli weźmie ślub tutaj, na tym oto parkiecie, para nr 71, Vee Lovell i Mary Hawley. Zechciejcie wystąpić naprzód, Vee i Mary, niech państwo zobaczą, jaka z was ładna para...

To znaczy - mówił dalej Rocky - jeśli do tej pory nie odpadną w wyścigu. Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ten publiczny ślub jest zgodny z życzeniem kierownictwa, które pragnie dostarczyć państwu rozrywki tylko w najlepszym stylu.

Pani Layden pociągnęła mnie do tyłu za trykotową koszulkę.

- Co się stało Rocky'emu? - zapytała szeptem.

Widać było, że Rocky miał jakiś wypadek. Prawą rękę normalnie włożył w rękaw marynarki, lewa wisiała na temblaku, a marynarka zarzucona była na nią jak peleryna.

- To wywichnięcie - odparłem.

- Założyli mu tylko dziewięć szwów - powiedziała Gloria szeptem.

- Dlatego nie było go tu wczoraj wieczór - powiedziała pani Layden. - Miał wypadek.

- Tak.

- Przewrócił się?

- Tak, proszę pani, chyba tak...

- ... przedstawić tę piękną gwiazdę filmową, pannę Mary Brian. Ukłoni się pani, panno Brian?

Panna Brian się ukloniła. Publiczność biła brawo.

- ... i znakomitego komika, pana Charleya Chase.

Znów brawa, kiedy Charley Chase wstawał w loży i składał ukłon.

- Nie znoszę tych prezentacji - powiedziała Gloria.

- Ale nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby to ciebie przedstawiano, prawda? - zapytałem.

- Życzę szczęścia - rzuciła pani Layden, kiedy ruszaliśmy w stronę podium.

- Mam tego dosyć - mówiła Gloria. - Dosyć patrzenia na sławnych ludzi i robienia tego samego ciągle w kółko.

- Czasem żałuję, że cię spotkałem. Nieprzyjemnie jest mówić coś takiego, ale to prawda. Zanim ciebie poznałem, nie wyobrażałem sobie, co znaczy ponure towarzystwo.

Wraz z innymi parami tłoczyliśmy się za linią startu.

- Jestem zmęczona życiem, a boję się śmierci - oświadczyła Gloria.

- Wiesz, to by była fajna piosenka - wtrącił się James Bates, który podsłuchał jej słowa. - Mogłabyś napisać piosenkę o starym czarnuchu siedzącym na grobli, który jest zmęczony życiem, a boi się śmierci. Mógłby ładować bawełnę i śpiewać o Missisipi. Wiesz, to dobry tytuł, mogłabyś to nazwać *Stara rzeka*.

Gloria rzuciła mu mordercze spojrzenie i zagrała na nosie.

- Poproszę tutaj - przywołał Rocky panią Layden, która wchodziła na estradę. - Panie i panowie - powiedział do mikrofonu - chciałbym przedstawić państwu najwytrwalszą na świecie entuzjastkę maratonu tanecznego, kobietę, która przychodzi tu co wieczór od chwili rozpoczęcia konkursu. Jest nią pani Layden i kierownictwo przyznało jej stałą kartę wstępu, ważną o każdej porze. Duże brawa dla pani Layden, panie i panowie... Zechce się pani uklonić, proszę pani.

Pani Layden zawahała się, mocno skonsternowana, niepewna, co właściwie powinna zrobić czy powiedzieć. Ale publiczność biła brawo, więc postąpiła parę kroków do przodu i złożyła niezdarny ukłon. Widocznie była to dla niej zupełna niespodzianka.

- Ci z was, co są miłośnikami tańca, szanowna publiko, widywali już tutaj tę panią - mówił Rocky. - Co wieczór sędziuje w czasie wyścigu i bez niej wyścig nie mógłby się odbyć. Jak się pani podoba maraton? - spytał przykucając i podsuwając jej mikrofon do ust.

- Wcale jej się nie podoba - szepnęła Gloria. - Zakład, że ani razu by nie przyszła, ty tępaku.

- Podoba mi się - odparła pani Layden. Ze zdenerwowania głos jej wiązał w gardle.

- Którą parę najbardziej pani lubi?

- Moja ulubiona para to nr 22: Robert Syverten i Gloria Beatty.

- Ulubioną parą tej pani, proszę państwa, jest para nr 22, która reklamuje Nie Tuczące Piwo Jonathan. Trzyma pani za nich palce, żeby wygrali, prawda?

- Tak, trzymam palce, a gdybym była młodsza, sama wzięłabym udział w konkursie.

- Wspaniale. Bardzo pani dziękuję. Znakomicie, a teraz z przyjemnością wręcę pani kartę wstępu ufundowaną przez kierownictwo. Może pani przychodzić bezpłatnie o każdej porze.

Pani Layden wzięła kartę wstępu. W przyływie ogromnej wdzięczności i wzruszenia uśmiechała się i płakała, i jednocześnie kiwała głową.

- Jeszcze jedna wielka chwila - powiedziała Gloria.

- Zamknij się! - poradziłem.

- W porządku. Czy sędziowie są gotowi? - zapytał prostując się Rocky.

- Gotowi - odparł Rollo i zaprowadził panią Layden do krzesła w rzędzie przeznaczonym dla sędziów.

- Panie i panowie - mówił Rocky - prawie wszyscy znacie już regulamin wyścigu, ale z uwagi na tych, którzy oglądają po raz pierwszy taki konkurs, udzielię wyjaśnień, żeby było wiadomo, o co chodzi. Dzieciaki ścigają się po torze przez piętnaście minut, chłopcy przestępując z pięty na palce, dziewczęta biegiem albo truchtem, jak wolą. Jeśli z tej czy innej przyczyny ktoś trafi do punktu opatrunkowego... punkt opatrunkowy mieści się pośrodku parkietu, tam gdzie stoją żelazne łóżka... jeśli więc ktoś z jakiegoś powodu tam trafi, partner czy partnerka musi zrobić dwa okrążenia, zaliczane zespołowi jako jedno. Czy to jest jasne?

- Jazda, zaczynajcie! - krzyknął ktoś z widzów.

- Czy pielęgniarki i trenerzy są gotowi? Czy lekarz czeka na stanowisku? Dobrze. - Podał pistolet Rollowi. - Da pani sygnał do startu, panno Delmar? - zapytał przez mikrofon. - Panie i panowie, panna Delmar jest słynną hollywoodzką pisarką, autorką powieści...

Rollo wręczył pistolet pannie Delmar.

- Chwila cierpliwości, panie i panowie - zawołał śpiewnie Rocky. - Orkiestra, zaczynamy. Proszę, panno Delmar.

Wystrzeliła, a my ruszyliśmy na ten sygnał.

Oboje z Glorią pozwalaliśmy koniom wyścigowym nadawać tempo. Nie staraliśmy się wyjść na pierwsze pozycje. Nasz system polegał na obraniu i zachowywaniu stałej prędkości. Na dziś nie wyznaczono żadnej specjalnej nagrody pieniężnej. A nawet gdyby ją wyznaczono, nam by to było obojętne.

Publiczność biła brawo i tupała, domagając się emocji, ale wyjątkowo tego wieczora czekał ją zawód. Tylko jedna z dziewcząt, Ruby Bates, odeszła do punktu opatrunkowego, i to zaledwie na dwa okrążenia. I po raz pierwszy od paru tygodni nikt nie upadł na parkiet po wyścigu.

Stało się natomiast coś, co mnie przeraziło. Musiałem Glorię ciągnąć na pasie mocniej i dłużej niż kiedykolwiek przedtem. W ostatnich pięciu minutach opadła zupełnie z sił. Właściwie wlokłem ją po torze. Zdawało mi się, że niewiele brakowało, by nas wyeliminowali. *Niewiele brakowało. Pani Layden powiedziała mi później tego wieczora, że rozmawiała z facetem, który liczył nasze okrążenia. Zrobiliśmy zaledwie dwa więcej niż najgorsza para. Obleciał mnie strach. Postanowiłem zrezygnować z mojego systemu i odtąd iść na całego.*

Przegrała para nr 16, Basil Gerard i Geneva Tomblin. Zostali automatycznie zdyskwalifikowani. Wiedziałem, że Geneva się z tego cieszy. Teraz będzie mogła poślubić kapitana statku rybackiego, którego poznała w pierwszym tygodniu konkursu.

Geneva przyszła na salę w przerwie na posiłek. Miała na sobie wyjściową sukienkę, w rękę trzymała kufereczek.

- Panie i panowie - powiedział do mikrofonu Rocky - oto ta wspaniała dziewczyna wyeliminowana dziś wieczorem. Prawda, że ładnie wygląda? Duże brawa, panie i panowie.

Publiczność biła brawo, a Geneva kłaniała się na prawo i lewo idąc w stronę podium.

- To się nazywa duch sportowy, panie i panowie. Przegrała ze swoim partnerem w zaciętym wyścigu, ale się uśmiecha. Wtajemniczę państwa w pewien sekrecik. - Przynął twarz do mikrofonu i obwieścił donośnym szeptem: - Jest zakochana, wychodzi za męża. Tak, podczas naszego pocziwego maratonu zrodziła się miłość, bo Geneva wychodzi za człowieka, którego poznała tutaj, na tej sali. Czy on jest tutaj, Genevo? Jest wśród nas?

Geneva z uśmiechem skinęła głową.

- Gdzie się podziewa ten szczęściarz? - pytał Rocky. - Gdzież on jest? Proszę wstać, panie kapitanie, i ukłonić się.

Na widowni wszyscy wykręcali szyje rozglądając się dookoła.

- Jest tutaj! - wykrzyknął Rocky wskazując w drugi koniec sali. Przez barierkę odgradzającą parkiet od łoży przeszedł jakiś mężczyzna i marynarskim krokiem zbliżył się do Genevy.

- Poproszę o kilka słów, panie kapitanie - powiedział Rocky podsuwając mu mikrofon.

- Zakochałem się w Genevie od pierwszego wejrzenia - przemówił do zgromadzonej publiczności kapitan - i w dwa dni później poprosiłem ją, żeby wycofała się z maratonu i wyszła za mnie za męża. Ale się nie zgodziła, bo nie chciała zrobić zawodu partnerowi; nie pozostawało mi więc nic innego, jak kręcić się tutaj. Teraz bardzo się cieszę, że odpadła, i nie mogę się już doczekać miodowego miesiąca...

Widownia wybuchnęła śmiechem. Rocky ustawił na powrót mikrofon przed sobą.

- Srebrny deszcz dla panny młodej, panie i panowie.

Kapitan chwycił mikrofon i przytknął go do ust.

- Nie róbcie żadnych składek, ludzie - powiedział. - Wystarczy mi dla niej aż nadto.

- Prawdziwy Wytrzeszcz - powiedziała Gloria.

Nie było srebrnego deszczu. Ani jedna moneta nie padła na parkiet.

- Widzą państwo, jaki jest skromny - powiedział Rocky. - Ale wolno mi chyba poinformować, że jest kapitanem „Królowej Pacyfiku”, starego czteromasztowca zamienionego obecnie na statek rybacki i zakotwiczony o trzy mile od mola. W ciągu dnia co godzinę kursują tam wodne taksówki i jeśli ktoś z was miałby ochotę na połów ryb głębinowych, radzę wybrać się z kapitanem.

- Pocałuj ją, ty durniu - wrzasnął ktoś z widowni.

Kapitan pocałował Genewę, po czym odpłynął razem z nią z parkietu. Publiczność wyła i klaskała.

- To już drugie małżeństwo skojarzone podczas maratonu, panie i panowie - obwieścił Rocky. - Proszę nie zapominać o naszej wielkiej uroczystości. Odbędzie się ona tutaj w przyszłym tygodniu, kiedy to para nr 71, Vee Lovell i Mary Hawley, weźmie ślub w obecności wszystkich państwa. Zaczynamy - zwrócił się do orkiestry.

Basil Gerard wyszedł z garderoby ubrany już normalnie i skierował się do stołu, żeby po raz ostatni zjeść na koszt organizatorów maratonu.

Rocky usiadł na podium machając nogami.

- Uważaj na moją kawę - powiedziała Gloria.

- Okej, okej - odparł Rocky przesuwając filiżankę. - Jak tam jedzenie?

- Dobrze - odrzekłem.

Podeszły do nas dwie kobiety w średnim wieku. Widziałem je już kilka razy przedtem, kiedy siedziały w łoży.

- To pan jest kierownikiem? - zapytała jedna z nich Rocky'ego.

- Niezupełnie. Jestem zastępcą kierownika. O co paniom chodzi?

- Ja się nazywam Higby - powiedziała kobieta - a to jest pani Witcher. Czy możemy porozmawiać z panem na osobności?

- Tu nie ma gdzie porozmawiać na osobności - odrzekł Rocky. - O co paniom chodzi?

- Ja jestem przewodniczącą, a ta pani wiceprzewodniczącą...

- Co się stało? - zapytał Socks Donald wyłaniając się za moimi plecami.

- To kierownik - powiedział Rocky z ulgą.

Obie kobiety popatrzyły na Socksa.

- Nazywam się Higby, a to jest pani Witcher - powiedziała pani Higby. - Jestem przewodniczącą, pani Witcher zaś wiceprzewodniczącą Macierzyńskiej Ligi Obrony Moralności.

- Ojoj - szepnęła Gloria.

- Słucham.

- Przyniosłyśmy panu rezolucję - powiedziała pani Higby wciskając mu do ręki złożony arkusz papieru.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytał Socks.

- Po prostu to - oświadczyła pani Higby - że nasza Liga Obrony Moralności potępiła wasz konkurs...

- Chwileczkę - przerwał Socks. - Może przejdziemy do mojego biura i tam pogadamy.

Pani Higby spojrzała na panią Witcher, która skinęła głową.

- Proszę bardzo - powiedziała.

- Chodźcie i wy, dzieci... i ty, Rocky, także. Hej, siostrze, proszę pozbiierać te filiżanki i talerze. - Uśmiechnął się do obu kobiet. - Widzą panie - powiedział - że nie pozwalamy dzieciakom robić nic, co groziłoby utratą energii. Proszę tedy...

Poprowadził nas przejściem na tyłach estrady do swojego biura mieszczącego się w rogu budynku. Po drodze Gloria, niby to się potknąwszy, runęła na panią Higby i chwyciła ją za włosy.

- Och, przepraszam panią, najmocniej przepraszam - powiedziała rozglądając się po podłodze, żeby zobaczyć, o co zawadziła nogą.

Pani Higby bez słowa rzuciła jej groźne spojrzenie i poprawiła kapelusz. Gloria dała mi sójkę w bok, robiąc oko za plecami pani Higby.

- Pamiętajcie, dzieci, jesteście za świadków - szepnął Socks, kiedy wchodziliśmy do bardzo małego kantorka przerobionego z dawnego hallu. Zauważyłem, że niewiele się tu zmieniło od tego dnia, kiedy przyszliśmy z Głorią zgłosić swój udział w maratonie. Jedyna zmiana polegała na tym, że Socks przyczepił pinezkami do ściany dwie nowe fotografie nagich kobiet. Pani Higby i pani Witcher wypatrzyły je natychmiast, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

- Proszę, zechcą panie usiąść - powiedział Socks. - No, więc o co chodzi?

- Macierzyńska Liga Obrony Moralności potępiła wasz konkurs - oznajmiła pani Higby. - Uznałyśmy, że jest wulgarny, poniżający i wywiera zgubny wpływ na naszą społeczność. Postanowiłyśmy zmusić was do przerwania...

- Do przerwania?

- I to natychmiast. Jeśli pan odmówi, zwrócimy się do rady miejskiej. Ten konkurs jest wulgarny i poniżający...

- Nie zrozumieliście mnie, moje panie - wtrącił Socks. - W tym konkursie nie ma nic poniżającego. Przecież tym dzieciakom strasznie się podoba. Wszystkie przytyły, odkąd się zaczęły.

- Jedną z uczestniczek jest młoda kobieta, która niedługo zostanie matką - powiedziała pani Higby - niejaka Ruby Bates. To zbrodnia zmuszać tę dziewczynę do biegania i chodzenia przez cały dzień na krótki czas przed urodzeniem dziecka. Co więcej, takie wystawianie jej na widok publiczny w niekompletnym stroju jest szokujące. Przynajmniej ona powinna mieć na tyle przyzwoitości, żeby wkładać zakiet.

- Cóż, moje panie - wyznał Socks - nigdy nie patrzyłem na to pod tym kątem. Ruby zawsze sprawiała wrażenie świadomej, co robi, a ja nigdy nie zwracałem na jej brzuch uwagi. Ale rozumiem wasz punkt widzenia. Chcecie, panie, żebym ją skreślił z listy zawodników?

- Z całą pewnością - powiedziała pani Higby. Pani Witcher jej potaknęła.

- Zgoda - rzekł Socks - co panie rozkażą. Ze mną łatwo jest się dogadać. Opłacę jej nawet szpital. Dziękuję, że mi panie o tym powiedziały. Natychmiast zajmę się tą sprawą.

- To jeszcze nie wszystko - oświadczyła pani Higby. - Czy naprawdę zamierzacie urządzić w przyszłym tygodniu publiczny ślub, czy też ogłaszaliście to tylko po to, żeby zwabić gromadę kretynów?

- Nigdy w życiu nie odstawiałem lipy - odparł Socks. - To prawdziwy ślub. Nie nabijałbym w taki sposób klientów w butelkę. Może pani zapytać wszystkich ludzi, z którymi mam do czynienia, co ze mnie za facet...

- Pańska reputacja jest nam znana - powiedziała pani Higby. - Ale i tak trudno mi uwierzyć, że zamierza pan patronować podobnemu świętokradztwu...

- Te dzieciaki, które mają wziąć ślub, bardzo się kochają - wyjaśnił Rocky.

- Nie pozwolimy na taką farsę - oznajmiła pani Higby. - Żądamy natychmiastowego przerwania konkursu!

- A co się wtedy stanie z tymi dzieciakami? - spytała Gloria. - Wrócą na ulicę...

- Nie próbuj usprawiedliwiać tego maratonu, młoda kobieto - powiedziała pani Higby. - Jest niemoralny. Przyciąga podejrzane elementy. Jeden z uczestników był zbiegłym mordercą... Ten Włoch z Chicago...

- Ależ, moje panie, nie możecie do mnie mieć o to pretensji - wtrącił Socks.

- Oczywiście, że mamy. Przyszliśmy tutaj, bo naszym obowiązkiem jest strzec, żeby

miasto było porządne i wolne od wszelkich tego rodzaju wpływów...

- Nie zrobi paniom różnicy, jeśli wyjdę z moim zastępcą obgadać to na osobności? - spytał Socks. - Może coś wymyślimy.

- Proszę bardzo - powiedziała pani Higby.

Socks skinął na Rocky'ego i razem wyszli z kantorka.

- Czy panie mają dzieci? - spytała Gloria, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

- Obie mamy dorosłe córki - odrzekła pani Higby.

- A wiedzą panie, gdzie one są dziś wieczór i co robią?

Żadna z kobiet nie odezwała się słowem.

- Może ja to paniom w przybliżeniu opiszę - powiedziała Gloria. - Kiedy wy dwie, szlachetne osoby, spełniacie swój obowiązek wobec nie znanych wam ludzi, wasze córki spędzają zapewne czas w mieszkaniach jakichś facetów, rozebrane i podpite.

Pani Higby i pani Witcher w tej samej chwili odebrało mowę.

- Tak się zazwyczaj dzieje z córkami reformaterek - mówiła Gloria. - Prędzej czy później każda się z kimś prześpi, a na ogół nie wie nawet tyle, żeby jej ten facet nie zrobił bachora. Wyganiacie je z domu tymi swoimi cholernymi kazaniami o czystości i skromności, a za bardzo jesteście zajęte wtykaniem nosa w cudze sprawy, żeby je uświadomić...

- Ależ... - powiedziała pąsowiejąc pani Higby.

- Ja... - powiedziała pani Witcher.

- Glorio... - powiedziałem.

- Już czas, żeby ktoś wygarnął babom takim jak wy. - Gloria podeszła do drzwi i oparła się o nie plecami, jakby je chciała zatarasować. - I właśnie ja to zrobię. Jesteście takie suki, co to ukradkiem w klozecie zaczytują się nieprzyzwoitymi książkami i opowiadają sobie różne świństwa, a potem wychodzą i próbują psuć innym zabawę...

- Odejdź od tych drzwi, młoda kobieto, i wypuść nas stąd! - wrzasnęła pani Higby. - Ani myślę cię słuchać. Jestem przyzwoitą kobietą. Uczę w szkółce niedzielnej...

- Nie odejdę ani o jeden pieprzony cal, dopóki nie skończę - oświadczyła Gloria.

- Glorio...

- Wasza Liga Moralna i wasze cholerne kobiece kluby - ciągnęła nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi - pełne są wścibskich starych babsztyli, którym od dwudziestu lat nikt porządnie nie dogodził. Dlaczego nie wyjdziecie czasem z domu, wy staruchy, i nie zapłacicie komuś, żeby was zerznął. Tego właśnie wam brakuje...

Pani Higby natarła na Glorię z ręką podniesioną jak do ciosu.

- No proszę, uderz - powiedziała Gloria nie ruszając się z miejsca. - Uderz! Tylko

mnie dotknij, a tak cię zasunę, że łeb ci odpadnie!

- Ty przekłeta dziwko! - wybuchnęła rozwścieczona pani Higby.

Drzwi się otwarły odtrącając Glorię na bok. Weszli Socks i Rocky.

- Ta... ta... - powtarzała pani Higby i wygrażała Glorii palcem.

- Nie jąkaj się - powiedziała Gloria - wymów to słowo. Potrafisz je wymówić.

Dziwka. D - z - i...

- Zamknij się! - rozkazał Socks. - Otóż, proszę pań, postanowiliśmy razem z moim zastępcą zrobić tak, jak panie radzą...

- My radzimy, żeby pan natychmiast zamknął tę budę - powiedziała pani Higby. - Bo jak nie, to z rana wybierzemy się do władz miejskich...

Ruszyła do wyjścia, a pani Witcher pośpieszyła za nią.

- Ty, młoda kobieto - zwróciła się pani Higby do Glorii - powinnaś być w poprawczaku!

- Już raz byłam - odparła Gloria. - Miałyśmy wychowawczynię wypisz, wymaluj jak pani. Była lesbijką...

Panią Higby znów zatkało i wyszła z pokoju, a za nią pani Witcher.

Gloria trzasnęła drzwiami, po czym usiadła na krześle i zaczęła szlochać. Ukryła twarz w dłoniach, daremnie próbując się opanować. Powoli przechylała się do przodu, aż zgięła się w pół, roztrzęsiona i rozedrgana, jakby całkowicie postradała władzę nad górną połową ciała. Dłuższą chwilę w kantorku słychać było tylko jej łkania i szum oceanu dochodzący przez uchylone okno.

Potem Socks podszedł do niej i delikatnie pogłodził ją po głowie.

- Cicho, mała, cicho - powiedział.

- Ani pary z gęby na ten temat - zwrócił się Rocky do mnie. - Nikomu nic nie mów.

- Nie powiem - obiecałem. - Czy to znaczy, że będziemy musieli zwijać interes?

- Nie sędzę - powiedział Socks. - To znaczy tylko tyle, że będziemy musieli komuś dać w łapę. Rano pogadam z moim adwokatem. A tymczasem, Rocky, zawiadom Ruby. Ona musi się wycofać. Było o nią mnóstwo babskiego jazgotu. - Spojrzał na drzwi. - Powinienem był się trzymać swoich machlojek. Cholerne, przekłete baby.

...wykonał wyrok i pozbawił cię życia...

11

UPŁYNEŁO GODZIN.....	855
POZOSTAŁO PAR	21

ZACIEKŁY BÓJ

O MARATON TANECZNY NIE USTAJE

* * *

MACIERZYŃSKA LIGA GROZI WIECEM,

O ILE RADA MIEJSKA

NIE PRZERWIE KONKURSU

* * *

TRZECI DZIEŃ ZATARGU

* * *

Macierzyńska Liga Obrony Moralności w dalszym ciągu występowała dzisiaj przeciwko maratonowi tanecznemu, grożąc, że zwróci się bezpośrednio w tej sprawie do mieszkańców miasta, jeśli rada miejska nie zażąda przerwania konkursu.

Maraton taneczny odbywa się w ośrodku plażowym od 36 dni. Małżonki panów J. Franklina Higby i Williama Wallace'a Witchera, przewodnicząca i wiceprzewodnicząca Ligi Obrony Moralności, ponownie udały się do rady miejskiej dziś po południu, żeby zaprotestować przeciw kontynuowaniu maratonu. Rada poinformowała je, że prokurator miejski studiuje przepisy, by ustalić, jakie kroki prawne można podjąć w tej sprawie.

„Nie możemy niczego przedsięwziąć, dopóki nie wiemy, co mówi prawo - oświadczył Tom Hinsdell, przewodniczący rady. Jak dotąd nie udało nam się natrafić na żadną ustawę, pod którą dałoby się podciągnąć właśnie ten przypadek, ale prokurator miejski wertuje

wszystkie kodeksy.”

„Czy rada miejska wahałaby się, gdyby naszemu miastu groziła zaraza? - powiedziała pani Higby. - Na pewno nie. Jeśli nie ma specjalnych ustaw, na które można by się powołać w tej sytuacji, niech wydadzą doraźne zarządzenia. Maraton taneczny to zaraza. Jest wulgarny i poniżający, ponadto w tym samym budynku mieści się bar, gdzie ściągają gangsterzy, kanciarze i znani kryminaliści. Nie jest to odpowiednia atmosfera dla dzieci...”

Zwróciłem pani Layden gazetę.

- Pan Donald mówił nam, że zdaniem jego adwokata władze miejskie nic nie mogą zrobić - powiedziałem.

- To nieważne - odparła pani Layden. - Te kobiety postanowiły przerwać maraton i zrobią to nie oglądając się na przepisy.

- Maraton wydaje mi się nieszkodliwy - powiedziałem - ale jeśli idzie o bar, mają rację. Widywałem w Palmiarni całe mnóstwo podejrzanych typów. Jak pani myśli, kiedy mogą zamknąć tę budę?

- Nie wiem. Ale na pewno ją zamkną. Co wtedy zrobisz?

- Pierwszą rzecz, jaką zrobię, to wygrzeję się na słońcu. Dawniej bardzo lubiłem deszcz, a nie znosiłem słońca, ale teraz jest na odwrót. Nie za wiele słońca tutaj dochodzi.

- A co będziesz robił później?

- Nie mam jeszcze żadnych planów.

- Rozumiem. Gdzie Gloria?

- Przebiera się w kostium wyścigowy. Będzie tu za chwilę.

- Zaczyna tracić siły, prawda? Lekarz mówił, że musi osłuchiwać jej serce kilka razy dziennie.

- To nie ma znaczenia - odparłem. - Bada wszystkie dziewczyny. Glorii nic nie jest.

Ale Glorii coś było i ja o tym wiedziałem. Mieliśmy mnóstwo kłopotów z wyścigami. Nigdy się nie dowiem, jak przebrnęliśmy przez dwa ostatnie wieczory. Podczas tych dwóch gonitw Gloria dwanaście razy znalazła się w punkcie opatrunkowym. Ja jednak nie wyciągałem żadnych wniosków z samego faktu, że lekarz codziennie osłuchiwał jej serce sześć czy siedem razy. Wiedziałem, że nigdy nie zdoła rozpoznać jej dolegliwości z pomocą stetoskopu.

- Nachyl się, Robercie - powiedziała pani Layden. - Po raz pierwszy nazwała mnie po imieniu i byłem lekko zakłopotany. Przechyliłem się przez barierkę i kołysałem całym ciałem, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że wbrew regulaminowi konkursu nie znajduję się w ruchu.

Zatłoczona sala pękała w szwach. - Wiesz, że dobrze ci życzę, prawda? - zapytała.

- Tak, proszę pani. Wiem o tym.

- Wiesz, że wynalazłam firmę, która cię finansuje, prawda?

- Tak, proszę pani. Wiem o tym.

- Ufasz mi, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Gloria nie jest odpowiednią dziewczyną dla ciebie, Robercie.

Nic nie odpowiedziałem, ciekaw, co będzie dalej. Nie pojmowałem, dlaczego pani Layden tak się mną interesuje. Chyba że... Ale to niemożliwe. Była tak stara, że mogłaby być moją babką.

- Ta dziewczyna to nic dobrego - powiedziała pani Layden. - To zły człowiek i złamie ci życie. Nie chcesz mieć złamanego życia, prawda?

- Ona nie złamie mi życia - zapewniłem.

- Obiecuj, że kiedy to się skończy, nigdy już nie zobaczysz jej na oczy.

- Och, nie zamierzam się z nią żenić ani nic w tym rodzaju. Nie jestem w niej zakochany. Jej nic nie brakuje. Tylko czasami bywa zanadto przygnębiona.

- Ona nie jest przygnębiona - powiedziała pani Layden. - Jest zgorzkniała. Nienawidzi wszystkich i wszystkiego. Jest zła i niebezpieczna.

- Nie wiedziałem, że ma pani o niej takie zdanie.

- Jestem starą kobietą - odparła. - Jestem bardzo, ale to bardzo starą kobietą. Wiem, co mówię. Kiedy to się skończy, Robercie... - powiedziała niespodziewanie - nie jestem taka biedna, jak ci się zdaje. Wyglądam na biedną, ale wcale nie jestem biedna. Jestem bogata. Jestem bardzo bogata i bardzo ekscentryczna. Kiedy to się skończy...

- Dzień dobry - powiedziała Gloria wyrastając jak spod ziemi.

- Dzień dobry - odrzekła pani Layden.

- O co chodzi? - spytała z miejsca Gloria. - Czy przeszkadzam?

- Nie, nie przeszkadzasz - odpowiedziałem.

Pani Layden rozpostarła gazetę i zabrała się do czytania. Odeszliśmy z Głorią w stronę podium.

- Co ona o mnie mówiła?

- Nic. Mówiliśmy właśnie, czy przerwą maraton...

- Mówiliście także, i o czym innym. Dlaczego tak nagle nabrała wody w usta, kiedy do was podeszłam?

- Coś ci się przywidziało.

- Panie i panowie - przemówił Rocky do mikrofonu - albo może po przeczytaniu gazet - podjął, kiedy tłum przycichł - powinienem powiedzieć: bracia kretyni. - Na widowni rozległy się głośne śmiechy; rozumiano, o co mu chodzi. - Widzą państwo, że maraton taneczny o mistrzostwo świata nadal się odbywa i będzie się odbywał, dopóki nie zostanie jedna tylko para zawodników: zwycięzcy finału. Chciałbym państwu bardzo podziękować za przyście tu dzisiaj, a zarazem przypomnieć, że nie możecie przepuścić jutrzejszego wieczoru... naszej wielkiej uroczystości, kiedy to para nr 71... Vee Lovell i Mary Hawley... weźmie ślub tutaj na oczach wszystkich... ślub, którego udzieli znany w mieście kapłan. Jeśli dotychczas nie zarezerwowali państwo miejsc, radzę niezwłocznie to zrobić... A teraz, przed rozpoczęciem wyścigu, chciałbym przedstawić kilka znanych osobistości. - Spojrzał na kartkę papieru. - Panie i panowie, jednym z naszych honorowych gości jest nie kto inny, tylko gwiazdor filmowy, piękny Bill Boyd we własnej osobie. Zechce się pan ukłonić, proszę pana?

Bill (Filmowy) Boyd wstał i ukłonił się, a widownia biła brawa.

- Następnym gościem jest też gwiazdor ekranu i sceny, Ken Murray. Pan Murray przyszedł w towarzystwie innych znakomitości. Może zechciałby wyjść na estradę i sam je przedstawić?

Publiczność nagrodziła propozycję gromkimi oklaskami. Murray zawahał się, ale w końcu przeszedł przez barierkę i stanął na podium.

- A więc, moi drodzy - powiedział biorąc do ręki mikrofon - najpierw młoda artystka filmowa, panna Anita Louise...

Panna Louise wstała.

- i panna June Clyde...

Panna Clyde wstała.

- panna Sue Carol...

Panna Carol wstała.

- Tom Brown...

Tom Brown wstał.

- Thornton Freeland...

Thornton Freeland wstał.

- i to wszystko, moi drodzy.

Murray uściśnął dłoń Rocky'ego, po czym wrócił do swojego towarzystwa.

- Panie i panowie... - zaczął Rocky.

- Tam siedzi ważny reżyser, którego nie przedstawił - powiedziałem do Glorii. - To Frank Borzage. Pogadajmy z nim.

- Po co? - spytała.

- To przecież reżyser. Mógłby ci pomóc wkręcić się do filmu.

- Do diabła z filmem - odparła Gloria. - Wolałabym nie żyć.

- Ja idę.

Szedłem wolno po parkiecie przed lozami, bardzo skrępowany. Dwa albo trzy razy o mało nie zabrakło mi odwagi i nie zawróciłem.

- Gra warta świeczki - powtarzałem sobie. - To jeden z najlepszych reżyserów na świecie. Kiedyś będę równie jak on sławny i wtedy mu o tym przypomnę.

- Dzień dobry panu - powiedziałem.

- Jak się masz, synu - odparł. - Wygrasz dzisiaj?

- Mam nadzieję. Widziałem *Chłopców z Placu Broni*. Ten film wydał mi się fantastyczny.

- Cieszę się, że ci się podobał.

- Chciałbym kiedyś zostać reżyserem - powiedziałem. - Reżyserem jak pan.

- Mam nadzieję, że nim będziesz.

- No to do widzenia panu.

Wróciłem pod estradę.

- To był Frank Borzage - poinformowałem Kida Kamma.

- Taa?...

- Wybitny reżyser - wyjaśniłem.

- O - powiedział Kid.

- Doskonale - mówił Rocky. - Czy sędziowie są gotowi? Czy mają już kartki do notowania okrążeń, Rollo? W porządku, dzieci.

Podeszliśmy na linię startu.

- Dzisiaj nie ryzykujemy - szepnąłem Glorii do ucha. - Nie możemy marudzić.

- Na miejsca, dzieci - zawołał Rocky. - Pielęgniarki i trenerzy, bądźcie gotowi. Chwila cierpliwości, panie i panowie... Orkiestra, zaczynamy.

Sam wystrzelił z pistoletu.

Wyskoczyliśmy naprzód, przepychając się na drugie miejsce, zaraz za Kidem Kammem i Jackie Miller. Zajmowali pierwszą pozycję, która zwykle należała do Jamesa i Ruby Batesów. Na pierwszym zakręcie myślałem o Jamesie i Ruby, o tym, gdzie się teraz podziwia ją. Bez nich wyścig nie przypominał wyścigu.

Pod koniec pierwszego okrążenia wyprzedzili nas Mack Aston i Bess Cartwright, wysuwając się na drugie miejsce. Zacząłem przestępować z pięty na palce szybciej niż

kiedykolwiek przedtem. Wiedziałem, że muszę. Wszystkie słabeusze już odpadły. Wszystkie pozostałe pary były szybkie.

Przez sześć czy siedem okrążeń utrzymywałem się na trzeciej pozycji i publiczność zaczęła wyć i dopingować nas, żebyśmy wysunęli się do przodu. Bałem się próbować. Szybka parę można wyminąć tylko na zakręcie, a na to zużywa się mnóstwo energii. Jak dotąd Gloria świetnie się trzymała i nie chciałem zanadto jej popędzać. Nie martwiłem się, dopóki wystarczał jej własny napęd.

Po ośmiu minutach zaczęło robić mi się gorąco. Ściągnąłem trykotową koszulkę i rzuciłem trenerowi. Gloria zrobiła to samo. Większość dziewcząt była już teraz bez koszulek i publiczność wyła z zachwytu. Pod koszulkami miały jedynie skąpe staniki i kiedy biegly dokoła parkietu, widać było podrygujące piersi.

Wszystko będzie dobrze, dopóki nas ktoś nie zaatakuje - mówiłem sobie w duchu.

I właśnie w tej chwili nas zaatakowano. Dogonił nas Pedro Ortega z Lillian Bacon, próbując dostać się na zakręcie na wewnętrzną stronę bieżni. Był to chyba jedyny sposób wyminięcia jakiejś pary, chociaż wcale nie taki łatwy, jak się wydaje. Należało wysunąć się co najmniej dwa kroki do przodu na prostej, a potem ostro wziąć zakręt. To właśnie zamierzał zrobić Pedro. Zderzyli się z nami na zakręcie, Gloria jednak zdołała utrzymać się na nogach i jakoś ją przeciągnąłem nie tracąc trzeciego miejsca.

Widownia wstrzymała oddech. Wiedziałem, że ktoś się zatacza. I zaraz dobiegł mnie łoskot ciała padającego na parkiet. Nie oglądałem się! Z tupotem sunąłem naprzód. Teraz to była dla mnie nie pierwszozna. Już na prostej, kiedy mogłem się obejrzeć nie wypadając z rytmu, zobaczyłem, że w punkcie opatrunkowym leży Mary Hawley, partnerka Vee Lovella. Doglądały jej pielęgniarki i trenerzy, a lekarz ją osłuchiwał.

- Przepuście solistę na wewnętrzną stronę, dzieci! - krzyknął Rocky.

Przesunąłem się i Vee mnie wyprzedził. Teraz musiał robić dwa okrążenia na nasze jedno. Mijając punkt opatrunkowy spojrzał w tamtą stronę z udręką. Wiedziałem, że nic go nie boli; zastanawiał się, kiedy jego partnerka wróci na tor. Zanim wstała i dołączyła do niego, robił już czwarte okrążenie.

Skinąłem na pielęgniarkę prosząc o wilgotny ręcznik, więc podczas następnego okrążenia zarzuciła mi go na szyję. Chwyciłem jego koniec zębami.

- Jeszcze cztery minuty - wrzasnął Rocky.

Był to dla nas jeden z trudniejszych wyścigów. Kid i Jackie nadawali mordercze tempo. Wiedziałem, że nic nam nie grozi, dopóki oboje z Głorią się trzymamy, ale nie sposób było przewidzieć, kiedy partner zasłabnie. Po przekroczeniu pewnego punktu człowiek

poruszał się jak automat, właściwie nie zdając sobie sprawy, że się porusza. W jednej chwili sunął z maksymalną prędkością, a już w następnej padał. Tego się bałem - że Gloria upadnie. Zaczynała zwisać na pasie.

Biegnij! - wołałem do niej w myśli, zwalniając odrobinę w nadziei, że jej ulżę. Pedro i Lillian najwyraźniej na to czekali. Przemknęli obok nas na zakręcie i zajęli trzecie miejsce. Tuż za mną słyszałem tupot innych biegnących par i wiedziałem, że gromada zawodników następuje Glorii na pięty. Nie miałem teraz absolutnie żadnej rezerwy czasowej.

Zarzuciłem biodrem. W ten sposób sygnalizowałem Glorii, że ma chwycić za pas drugą ręką. Zrozumiała i zmieniła rękę na prawą.

Bogu dzięki - powiedziałem sam do siebie. Był to dobry znak: Gloria reagowała.

- Jeszcze minuta - obwieścił Rocky.

W tym momencie dodałem gazu. Kid Kamm i Jackie troszeczkę zwolnili, a za nimi zwolnili Mack i Bess, Pedro i Lillian. My z Glorią znajdowaliśmy się pomiędzy nimi a całą resztą. Była to niekorzystna pozycja. Modliłem się, żeby nikomu spośród biegnących za nami nie starczyło energii na zryw, bo wiedziałem, że pod wpływem najbliższego szturchnięcia Gloria zmyli krok i upadnie. A gdyby teraz ktoś upadł...

Resztę sił zużyłem na wysunięcie się do przodu choćby o jeden krok, dalej od zagrażającego z tyłu niebezpieczeństwa. Kiedy wystrzał obwieścił koniec wyścigu, obróciłem się, żeby chwycić Glorię. Ale nie zemdląła. Zatoczyła się w moje ramiona, lśniąca od potu, z trudem chwytając oddech.

- Potrzebna wam pielęgniarka? - krzyknął z estrady Rocky.

- Nic jej nie jest - odparłem. - Musi chwilę odpocząć.

Większość dziewcząt wyprowadzono do garderoby, ale chłopcy tłoczyli się dookoła podium, bo chcieli zobaczyć, kto został zdyskwalifikowany. Sędziowie podali kartki z zapisem Rollowi i Rocky'emu do sprawdzenia.

- Panie i panowie - oznajmił po paru minutach Rocky. - Oto wyniki najbardziej sensacyjnego wyścigu, jaki państwo dotychczas widzieli. Pierwsze miejsce: para nr 18, Kid Kamm i Jackie Miller. Drugie miejsce: Mack Aston i Bess Cartwright. Trzecie miejsce: Pedro Ortega i Lillian Bacon. Czwarte miejsce: Robert Syverten i Gloria Beatty. To byli zwycięzcy, a teraz przegrani: parą, która ostatnia przyszła na metę, która zgodnie z regulaminem zostaje zdyskwalifikowana i wykluczona z maratonu, jest para nr 11, Jere Flint i Vera Rosenfield...

- Oszalałeś! - krzyknął Jere Flint na tyle głośno, że wszyscy na sali go usłyszeli.

- To pomyłka - powiedział podchodząc bliżej do estrady.

- Sam się przekonaj. - Rocky wręczył mu kartki.

- Szkoda, że to nie my - powiedziała Gloria podnosząc głowę. - Szkoda, że nie odpadłam w wyścigu...

- Ciii - szepnąłem.

- Guzik mnie obchodzi, co jest na tych kartkach, bo jest źle - stwierdził Jere Flint zwracając je Rocky'emu. - Wiem, że jest źle. Jak, u diabła mogliśmy zostać wyeliminowani, kiedy nie byliśmy ostatni?

- Potrafisz liczyć okrążenia, kiedy się ścigasz? - zapytał Rocky usiłując zbić z tropu Jerego. Wiedział przecież, że to niemożliwe.

- Tego nie potrafię - odparł Jere. - Ale wiem, że nie byliśmy w punkcie opatrunkowym, a Mary była. Wystartowaliśmy przed Vee i Mary i skończyliśmy przed nimi.

- A pan co na to? - zwrócił się Rocky do stojącego opodal mężczyzny. - Pan sędziował parze nr 11.

- Mylisz się, bracie - zapewnił Jerego mężczyzna. - Obliczałem cię bardzo dokładnie.

- Wielka szkoda, synu - powiedział Socks Donald przeciskając się przez gromadę sędziów. - Miałeś pecha.

- To nie pech, tylko cholerny kant - odrzekł Jere. - Ja się na to nie dam nabrać. Gdyby Vee i Mary zostali wyeliminowani, nie byłoby tu jutro ślubu.

- No, no - uspokajał go Socks. - Biegnij do garderoby.

- Okej - odparł Jere. Podszedł do mężczyzny, który sędziował jemu i Verze. - Ile ci Socks za to daje? - spytał.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Jere odwrócił się, wyrzucił tamtego pięścią w usta i zwałił na ziemię.

Socks podbiegł do Jerego podnosząc pięść, łypiąc wściekle oczyma, a drugą ręką sięgając do tylnej kieszeni spodni.

- Jeśli wyciągniesz na mnie tę pałkę, wduszę ci ją do gardła - ostrzegł Jere, po czym ruszył przez parkiet w stronę garderoby.

Widzowie zerwali się na nogi, gadali głośno, chcieli zobaczyć, co się dzieje.

- Ubierzmy się - powiedziałem do Glorii.

...w 19 dniu miesiąca września, roku pańskiego 1935...

12

UPLYNĘŁO GODZIN	879
POZOSTAŁO PAR	20

Przez cały dzień Gloria była w bardzo ponurym nastroju. Ze sto razy zadawałem jej pytanie, o czym tak rozmyśla. „O niczym” - odpowiadała. *Teraz widzę, jaki byłem głupi. Powinienem być wiedzieć, o czym myśli. Dziś, kiedy cofam się pamięcią do tamtego ostatniego wieczora, nie pojmuję, jakim cudem mogłem być aż tak głupi. Ale wówczas mnóstwo rzeczy do mnie nie docierało...*

Sędzia siedzi na tym podwyższeniu, wygłasza mowę, patrzy na mnie zza okularów, ale jego słowa przenikają przez moje ciało tak jak jego spojrzenie przez okulary - przechodzą na wylot, nie zatrzymując się, ustępując drogi każdemu kolejnemu spojrzeniu i każdemu kolejnemu słowu. Moje uszy ani mózg tak samo nie chwytają słów sędziego, jak soczewki jego okularów nie chwytają i nie zatrzymują żadnego spojrzenia, które się przez nie przedostaje. Słyszę go stopami i nogami, klatką piersiową i ramionami, każdą częścią ciała z wyjątkiem uszu i mózgu. Uszami i mózgiem słyszę gazeciarza wykrzykującego coś na ulicy o królu Aleksandrze, słyszę łoskot tramwaju, słyszę samochody, słyszę dzwonki ostrzegawcze pod światłami na skrzyżowaniach; słyszę, jak na sali sądowej ludzie oddychają i szurają butami, słyszę skrzypienie drewnianej ławki, słyszę cichy plusk, kiedy ktoś spluwa do spluwaczki. Wszystko to słyszę uszami i mózgiem, ale sędziego słyszę tylko ciałem. Jeśli kiedykolwiek usłyszycie sędziego mówiącego do was to, co ten sędzia mówi do mnie, będziecie wiedzieli, co chcę przez to powiedzieć.

A właśnie tego dnia Gloria nie miała powodu być ponura. Ludzie od rana przewalali się przez salę, od południa widownia była nabita, a teraz, tuż przed ślubem, wolnych miejsc pozostało bardzo niewiele, i to na ogół zarezerwowanych. Całą salę przybrano tyłu flagami i takim mnóstwem czerwonych, białych i niebieskich chorągiewek, że lada chwila niemal oczekiwało się huku petard i odegrania przez orkiestrę hymnu narodowego. Dzień obfitował

we wrażenia: robotnicy dekorujący wnętrze, tłoczący się widzowie, próby ceremonii ślubnej, pogłoski, że kobiety z Ligi Obrony Moralności przyjdą podpalić budynek, i dwa nowe komplety ubrania przysłane dla Glorii i dla mnie przez firmę Piwo Jonathan.

Właśnie tego dnia Gloria nie miała powodu być ponura, była jednak bardziej ponura niż zwykle.

- Synu... - przywołał mnie z łoży jakiś mężczyzna. Nie widziałem go nigdy przedtem. Kiwał na mnie, żebym podszedł bliżej.

Nie posiedzisz tu długo - ostrzegłem go w duchu. - To stałe miejsce pani Layden. Będziesz się musiał wynieść, jak przyjdzie.

- Czy ty jesteś chłopcem z pary 22? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Gdzie twoja partnerka?

- Tam - odparłem wskazując w stronę podium, gdzie Gloria stała w towarzystwie innych dziewcząt.

- Zawołaj ją - powiedział mężczyzna. - Chciałbym ją poznać.

- Proszę bardzo - odparłem i poszedłem po Glorię. Kto to może być? - zapytałem sam siebie.

- Jest tam ktoś, kto chciałby cię poznać - zwróciłem się do niej.

- Nie chcę nikogo poznawać.

- Ten facet to nie byle kto - powiedziałem. - Jest dobrze ubrany. Wygląda na kogoś ważnego.

- Wszystko mi jedno, na kogo wygląda - odparła.

- Może to producent - mówiłem. - Może zrobiłaś na nim dobre wrażenie. Może los ci się odmieni.

- Niech szlag trafi mój los.

- No chodź - nalegałem. - On czeka.

W końcu poszła ze mną.

- Cały ten film to parszywy interes - powiedziała Gloria. - Trzeba poznawać ludzi, których się nie ma ochoty poznawać, i trzeba być miłą dla ludzi, których się nie cierpi. Cieszę się, że z tym skończyłam.

- Dopiero zaczynasz - sprostowałem usiłując ją podnieść na duchu. *Wtedy nie zwróciłem uwagi na to, co mówi, ale teraz widzę, że były to najbardziej znaczące słowa, jakie w ogóle wypowiedziała.*

- Oto ona - zwróciłem się do tego mężczyzny.

- Nie wiesz, kim jestem, prawda? - zapytał.

- Nie, proszę pana.

- Nazywam się Maxwell. Jestem kierownikiem działu reklamy w firmie Rwo Jonathan.

- Dzień dobry panu - powiedziałem wyciągając do niego rękę na powitanie. - To moja partnerka, Gloria Beatty. Pragnę panu podziękować za to, co pan dla nas zrobił.

- Mnie proszę nie dziękować - odparł. - Podziękuj pani Layden. To ona zwróciła mi na was uwagę. Czy dostaliście dzisiaj paczki?

- Tak, proszę pana - odrzekłem - i przyszły w samą porę. Ubranie bardzo nam było potrzebne. Te maratony taneczne nie wychodzą odzieży na dobre. Czy był pan tu już kiedyś?

- Nie, i teraz też bym nie przyszedł, gdyby pani Layden mnie nie namówiła. Opowiadała mi o wyścigach. Czy dzisiaj też będzie wyścig?

- Drobiazg taki jak ślub nie mógłby przeszkodzić w wyścigu - odparłem. - Wyścig odbędzie się zaraz po ceremonii ślubnej.

- Do widzenia - rzekła oddalając się Gloria.

- Czy powiedziałem coś niestosownego? - spytał pan Maxwell.

- Nie, proszę pana. Musiała pójść po ostateczne instrukcje. Uroczystość zaczyna się już niedługo.

Zmarszczył czoło i nie miałem wątpliwości, że poznał się na kłamstwie, którym chciałem zatuszować złe maniery Glorii. Przez chwilę patrzył za nią, kiedy szła po parkiecie, po czym obrócił się do mnie.

- Jakie macie szanse na wygraną dzisiejszego wyścigu? - zapytał.

- Spore - odrzekłem. - Oczywiście ważne jest nie to, żeby wygrać, ale żeby nie przegrać. Ten, kto skończy ostatni, zostaje zdyskwalifikowany.

- Załóżmy, że firma Piwo Jonathan ofiaruje dwadzieścia pięć dolarów zwycięzcom - powiedział. - Myślisz, że macie szansę je zdobyć?

- Z całą pewnością będziemy wylazili ze skóry.

- Jeśli tak, to świetnie. - Od stóp do głów otaksował mnie spojrzeniem. - Pani Layden mówiła mi, że jesteś ambitny i chcesz się dostać do filmu.

- Owszem. Ale nie w charakterze aktora. Chcę być reżyserem.

- A nie odpowiadałaby ci praca w browarze?

- Chyba nie.

- Reżyserowałeś już kiedyś?

- Nie, proszę pana, ale nie boję się spróbować. Wiem, że potrafiłbym zrobić coś

dobrego. Och, nie taki film długometrażowy, jakie kręci Bolesławski czy Mamoulian, czy King Vidor, ale na początek coś innego.

- Na przykład?

- No, jakąś krótkometrażówkę, ze dwa, trzy akty. O tym, co robi przez cały dzień szmaciarz, albo o życiu szarego człowieka, wie pan, takiego, co to zarabia trzydzieści dolarów na tydzień, a musi wychować dzieci i kupić dom i samochód, i radio takiego faceta, co to go zawsze ścigają inkasenci. Coś innego, z najazdami kamery dla ożywienia opowieści.

- Rozumiem - powiedział.

- Nie chciałem pana nudzić, ale tak rzadko zdarza mi się spotkać kogoś, kto ma ochotę mnie słuchać, że kiedy ktoś taki się trafi, nie umiem w porę skończyć.

- Wcale mnie to nie nudzi. Jeśli chodzi o ścisłość, bardzo mnie to ciekawi. Ale może i ja powiedziałem za dużo...

- Dobry wieczór - rzekła pani Layden wchodząc do łóży. Pan Maxwell wstał. - To moje miejsce, John - stwierdziła. - Usiądź sobie tutaj. - Pan Maxwell ze śmiechem przesiadł się na inne krzesło. - No, no, ale ładnie wyglądasz - zwróciła się pani Layden do mnie.

- Pierwszy raz w życiu mam na sobie smoking - powiedziałem oblewając się rumieńcem. - Pan Donald wypożyczył dla wszystkich chłopców smokingi, a dla dziewcząt suknie. Wszyscy idziemy w orszaku ślubnym.

- Co o nim myślisz, John? - zapytała pani Layden pana Maxwella.

- Podoba mi się - odrzekł pan Maxwell.

- Na zdaniu Johna polegam bez zastrzeżeń - oświadczyła pani Layden. Zaczynałem teraz pojmować, dlaczego pan Maxwell tak mnie wypytywał.

- Tędy, dzieci - powiedział Rocky do mikrofonu. - Proszę tędy... Panie i panowie, zaraz odbędzie się publiczny ślub pary nr 71, Vee Lovella i Mary Hawley, a proszę nie zapominać, że nie na tym koniec dzisiejszych atrakcji. To dopiero początek. Po ślubie będzie wyścig...

Nachylił się, bo Socks Donald szeptał mu coś do ucha.

- Panie i panowie - oznajmił Rocky - bardzo jestem rad, że mogę państwu przedstawić duchownego, który dopełni obrzędu, duchownego, którego wszyscy znacie, wielbnego Oscara Gildera. Zechce pan podejść tutaj?

Duchowny wszedł na parkiet i ruszył w stronę estrady witany oklaskami przez publiczność.

- Na miejsca - polecił nam Socks. Zajęliśmy wyznaczone miejsca, dziewczęta z jednej strony podium, chłopcy z drugiej.

- Zanim ruszy nasz orszak - powiedział Rocky - chciałbym podziękować tym, którzy przyczynili się do uświetnienia dzisiejszej uroczystości. - Spojrzał na kartkę papieru. - Ślubna suknia jest darem pana Samuela ze sklepu „Bon - Ton”. Może zechce pan wstać?

Pan Samuels wstał i kłaniając się dziękował za oklaski.

- Pantofle ofiarował pannie młodej właściciel sklepu „Pantofel” przy Main Street. Czy pan Davis znajduje się na sali? Proszę, może pan wstanie?

Pan Davis wstał.

- Pończochy i jedwabne niewymowne ofiarował magazyn dla dziewcząt „Droga Polly”. Gdzie się podziewa pan Lightfoot?

Pan Lightfoot wstał, a publiczność wyła z zachwytu.

- A jej ondulacja to dzieło salonu piękności „Pompadour”. Czy jest tutaj panna Smith?

Panna Smith wstała.

- Pana młodego zaś od stóp do głów ubrała „Spółka Konfekcyjna Towera”. Pan Tower...

Pan Tower wstał.

- Wszystkie kwiaty do udekorowania sali i dla dziewcząt do sukien przysłano ze spółki ogrodniczej „Jaworowa Grań”! Pan Dupré...

Pan Dupré wstał.

- A teraz, panie i panowie, oddaję mikrofon wielbnemu Oscarowi Gilderowi, który połączy te cudowne dzieci węzłem małżeńskim.

Podał statyw mikrofonu Rollowi, ten zaś umieścił go na parkiecie na wprost podium. Wielebny Gilder stanął za mikrofonem dając znak orkiestrze, która zagrała marsza weselnego.

Korowód ruszył, chłopcy w jednym rzędzie, dziewczęta w drugim, doszedł do końca sali i zawrócił ku duchownemu. Po raz pierwszy widziałem dziewczęta w innym stroju niż marynarskie spodnie albo kostiumy wyścigowe.

Po południu dwukrotnie robiliśmy próbę marsza i mówiono nam, że mamy przystawać po każdym kroku, zanim zrobimy następny. Kiedy oczom publiczności ukazali się w głębi estrady państwo młodzi, rozbrzmiały okrzyki i brawa.

Pani Layden skinęła głową, kiedy ją mijalem.

Zajęliśmy miejsca na podium, podczas gdy Vee i Mary oraz drużbowie, Kid Kamm i Jackie Miller, stanęli obok duchownego. Oscar Gilder ruchem ręki uciszył orkiestrę, po czym przystąpił do udzielania ślubu. Od początku do końca uroczystości nie przestawałem obserwować Glorii. Nie miałem okazji powiedzieć jej, jaka niegrzeczna była w stosunku do pana Maxwella, więc próbowałem przyciągnąć jej wzrok i wyrazić oczyma, że niejednego się

dowie, kiedy znów będziemy stanowili parę.

- Ogłaszam, iż jesteście mężem i żoną - powiedział wielebny Gilder. Z pochyloną głową zaczął odmawiać psalm: - Pasterzem moim jest Pan: nie brak mi niczego; na zielonych pastwiskach pozwala mi leżeć. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia mą duszę. Po ścieżkach prostych mnie wiedzie przez wzgląd na swoje imię. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Kij twój i Twoja laska: to one mnie pocieszają. Stół dla mnie zastawiasz na oczach mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Dobroć i laska pójdą za mną śladem i zamieszkać w domu Pana po najdłuższe czasy.

Kiedy skończył, Vee nieśmiało pocałował Mary w policzek, a my otoczyliśmy ich kołem. Sala zatrzęsała się od oklasków i krzyków.

- Chwileczkę, jedną chwileczkę - ryknął do mikrofonu Rocky. - Jedną chwileczkę, panie i panowie.

Rozgardiasz przycichł, a w tej samej chwili w drugim końcu sali, w Palmiarni, rozległ się wyraźny brzęk tłuczonego szkła.

- Nie! - wrzasnął jakiś mężczyzna. Po czym pięć wystrzałów zabrzmiało tak szybko jeden po drugim, że zwały się w przeciągły grzmot.

Widownia momentalnie zahuczała.

- Proszę nie ruszać się z miejsc! Proszę nie ruszać się z miejsc! - darł się Rocky.

Wszyscy chłopcy i dziewczęta popędzili do Palmiarni, żeby zobaczyć, co się stało, i ja pobiegłem razem z nimi. Wyprzedził mnie Socks Donald sięgając ręką do tylnej kieszeni spodni.

Przesadziłem barierkę i przeskakując przez pustą lożę pognałem za Socksem do Palmiarni. Ludzie tłoczyli się wokół czegoś, patrzyli na podłogę i coś jedni do drugich gadali. Socks przedarł się przez ten krąg, a ja za nim.

Na podłodze leżał martwy mężczyzna.

- Kto to zrobił? - zapytał Socks.

Ktoś odpowiedział:

- Jakiś facet stamtąd.

Socks utorował sobie drogę z powrotem; ja następowałem mu na pięty. Troszkę się zdziwiłem widząc za moimi plecami Głorię.

Mężczyzna, który strzelał, stał teraz wsparty na łokciu przy barze. Krew płynęła mu po twarzy. Socks podszedł do niego.

- On zaczął, Socks - powiedział tamten. - Próbował mnie zabić butelką po piwie.

- Monk, ty draniu! - Mówiąc to Socks wyrzwał go pałką po twarzy. Monk osunął się na ladę, ale nie upadł. Socks nie przestawał okładać go pałką po twarzy, a krew bryzgała na pobliskie sprzęty i ludzi. Dosłownie zwałił tamtego na ziemię.

Ktoś zawołał:

- Hej, Socks.

O jakieś dziesięć metrów dalej inni ludzie utworzyli krąg, patrzyli pod nogi i coś jedni do drugich gadali. Przepchaliśmy się przez ten krąg - i ona tam leżała.

- Cholera! - zaklął Socks Donald.

Była to pani Layden z dziurą pośrodku czoła. John Maxwell klęczał przy niej podtrzymując jej głowę, po chwili delikatnie złożył głowę na podłodze i wstał. Głowa pani Layden wolno przechyliła się na bok i mała kałuża krwi, która zebrała się w kraterze oka, spłynęła na ziemię.

John Maxwell dojrzał Glorię i mnie.

- Szła sędziować w wyścigu - powiedział. - Trafiła ją zabłąkana kula.

- Szkoda, że nie mnie - wyszeptła Gloria.

- Cholera! - zaklął Socks Donald.

Zebrałiśmy się wszyscy w damskiej garderobie. Na sali pozostało bardzo niewiele osób, sami policjanci i kilku reporterów.

- Chyba wiecie, dzieci, po co was tutaj zebrałem - zaczął powoli Socks - i wiecie chyba, co wam powiem. Nic nikomu nie przyjdzie z tego, że będzie miał żal o to, co się stało, bo takie rzeczy się zdarzają. Nie udało się wam, dzieci, i mnie się nie udało. Maraton dopiero na dobre się rozkręcał... Omówiliśmy to z Rockym i postanowiliśmy tysiąc dolarów przeznaczonych na nagrodę podzielić między was wszystkich, a ja dorzucę od siebie drugi kawałek. W ten sposób wypadnie pięćdziesiątka na głowę. Tak będzie sprawiedliwie?

- Tak - odparliśmy.

- Nie myśli pan, że jest jeszcze jakaś szansa? - zapytał Kid Kamm.

- Nie ma najmniejszej szansy - odpowiedział Socks kręcąc głową. - Ta Liga Czystości nie da nam spokoju.

- Mieliliśmy dobrą zabawę, dzieci - powiedział Rocky - i dobrze mi się z wami pracowało. Może kiedyś będziemy mogli urządzić nowy maraton...

- Kiedy dostaniemy tę forszę? - spytał Vee Lovell.

- Rano - odparł Socks. - Jeśli ktoś z was ma ochotę, może zostać tu na noc, tak jak dotychczas. Ale jeśli wolicie odejść, nikt was nie będzie zatrzymywał. Będę miał dla was tę

forse po dziesiątej rano. A teraz się z wami pożegnam. Muszę iść na policję.

**...w sposób przewidziany
przez ustawodawstwo stanu Kalifornia i...**

13

Szliśmy z Głorią przez parkiet, a moje obcasy stuknęły tak głośno, że nie byłem pewny, czy naprawdę do mnie należą. Rocky stał we frontowych drzwiach w towarzystwie policjanta.

- Gdzie idziecie, dzieci? - spytał Rocky.

- Łyknąć trochę powietrza - odparła Gloria.

- Wracacie tutaj?

- Wrócimy - odpowiedziałem. - Wychodzimy tylko łyknąć trochę świeżego powietrza.

Od dawna już nie byliśmy na dworze.

- Nie marudźcie za długo. - Rocky spojrzał na Głorię znacząco się oblizując.

- Odpieprz się - powiedziała Gloria i wyszła.

Było po drugiej w nocy. Powietrze było wilgotne, czyste i takie zagęszczone, że czułem, jak moje płuca pochłaniają je wielkimi kęsami.

Założę się, że lubicie takie powietrze - powiedziałem do płuc.

Obejrzałem się na budynek.

- Więc to tutaj byliśmy przez cały ten czas - powiedziałem na głos. - Teraz rozumiem, co czuł Jonasz na widok wieloryba.

- Chodź - odezwała się Gloria.

Obeszliśmy budynek i znaleźliśmy się na molo. Wybiegało w głąb oceanu tak daleko, jak daleko mogłem wzrokiem sięgnąć, i wznosiło się, opadało, stękało i skrzypiało do wtóru falom.

- To cud, że fale nie zmyją tego mola - zauważyłem.

- Masz bzika na punkcie fal - stwierdziła Gloria.

- Nie, nie mam.

- Tylko o tym mówisz od miesiąca.

- No dobrze, stój spokojnie przez chwilę, to zobaczysz, o co mi chodzi. Można

wyczuć, jak się wznosi i opada.

- Mogę to wyczuć nie stojąc spokojnie - powiedziała - ale to nie powód, żeby się podniecać. Wznosi się i opada od miliona lat.

- Nie myśl, że mam fioła na punkcie tego oceanu. Mogę go już nigdy więcej oglądać na oczy. Do końca życia mam dość oceanu.

Usiedliśmy na ławce mokrej od bryzgów piany. Przy końcu mola paru wędkarzy zarzuciło wędki w morze. Noc była czarna, bez gwiazd i księżyca. Nieregularna smużka białej piany znaczyła brzeg.

- Powietrze jest wspaniałe - stwierdziłem.

Gloria nie odezwała się, zapatrzona przed siebie. Daleko na przylądku błyszcząły światła.

- To Malibu. Tam mieszkają wszystkie gwiazdy filmowe.

- Co zamierzasz teraz robić? - spytała wreszcie.

- Nie bardzo wiem. Myślałem, czyby nie pójść jutro do pana Maxwella. Może go namówię, żeby mi pomógł. Sprawiał wrażenie naprawdę zainteresowanego.

- Zawsze jutro. Wielki przełom zawsze ma nastąpić jutro.

Minęło nas dwóch mężczyzn z wędkami do połowu ryb głębinowych. Jeden z nich włókł ponadmetrowej długości rybę - młota.

- Ten malec nigdy już nikogo nie skrzywdzi - powiedział do swojego towarzysza.

- A co ty masz zamiar robić? - zapytałem Głorię.

- Mam zamiar zeskoczyć z tej karuzeli - odparła. - Kończę z całym tym śmierdzącym interesem.

- Z jakim interesem?

- Z życiem.

- Czemu nie weźmiesz się w garść? - spytałem. - Źle do wszystkiego podchodzisz.

- Nie praw mi morałów.

- Niczego ci nie prawię, ale powinnaś zmienić swój stosunek. Słowo honoru. To wpływa na każdego, z kim się stykasz. Weź na przykład mnie. Zanim cię poznałem, nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłbym nie odnieść sukcesu. Nie dopuszczałem myśli o porażce. A teraz...

- Kto cię nauczył tej gadki? Sam nigdy byś na to nie wpadł.

- Właśnie że wpadłem.

Popatrzyła skrajem oceanu w stronę Malibu.

- Och, co mi przyjdzie z tego, że będę się oszukiwać? - powiedziała po chwili. -

Wiem, co mnie czeka.

Nie odzywałem się i zapatrzony w ocean myślałem o Hollywood, zastanawiałem się, czy rzeczywiście tam byłem, czy też za chwilę obudzę się w rodzinnym Arkansas i będę musiał pędzić po gazety, zanim się rozwidni.

- Skurwysyn - mówiła Gloria sama do siebie. - Nie musisz tak na mnie patrzeć - dodała. - Wiem, że jestem do niczego.

Ma rację - pomyślałem. - Ma świętą rację. Jest do niczego.

- Szkoda, że nie umarłam wtedy w Dallas - mówiła. - Zawsze będę uważała, że tamten doktor ocalił mi życie z jednego tylko powodu.

Nic na to nie odpowiedziałem i w dalszym ciągu patrzyłem na ocean myśląc, że nie bez racji twierdzi, że jest do niczego, i że szkoda, że nie umarła wtedy w Dallas. Z pewnością dla niej byłoby lepiej, gdyby nie żyła.

- Jestem po prostu niewydarzona. Nie ma we mnie nic, co mogłabym ofiarować drugiemu człowiekowi - mówiła. - Nie patrz tak na mnie.

- Wcale na ciebie nie patrzę. Nie widzisz mojej twarzy.

- Owszem, widzę.

Kłamała. Nie mogła widzieć mojej twarzy. Było za ciemno.

- Nie uważasz, że powinniśmy wracać? - spytałem. - Rocky chciał się z tobą zobaczyć.

- Ten kutas? Wiem, czego chce, ale nigdy już tego nie dostanie. Zresztą nikt inny także.

- O czym ty mówisz?

- Nie wiesz?

- Czego nie wiem?

- Czego chce Rocky?

- Och, tak. Wpadłem na to dopiero teraz.

- Każdy mężczyzna chce tylko tego - odparła. - Ale to jest w porządku. Och, nie robiło mi różnicy, że daję Rocky'emu; wyświadczał mi taką samą przysługę jak ja jemu, ale przypuścimy, że bym zaszła.

- Nic tylko o to ci chodzi, co?

- Tak, o to. Zawsze do tej pory umiałam się pilnować. Przypuścimy, że miałabym dziecko. Wiesz, na co by wyrosło, prawda? Na kogoś takiego jak my.

Ma rację - mówiłem sobie w duchu. - Ma absolutną rację. Wyrosłoby na kogoś takiego jak my.

- A tego nie chcę. Zresztą ze mną już koniec. Uważam, że świat jest parszywy i że ze

mną już koniec. Lepiej by mi było, gdybym nie żyła, i innym też byłoby lepiej. Niszczę wszystko, do czego się zbliżę. Sam tak powiedziałeś.

- Kiedy powiedziałem coś podobnego?

- Parę minut temu. Mówiłeś, że zanim mnie poznałeś, nie przychodziła ci do głowy myśl o porażce. No, ale to już nie moja wina. Nic na to nie poradzę. Raz spróbowałam się zabić, ale się nie udało i nigdy już nie miałam odwagi spróbować ponownie... Chcesz oddać światu przysługę? - spytała.

Nic na to nie odpowiedziałem słuchając, jak ocean cmoka w pale pomostu, czując, jak molo się unosi i opada, myśląc, że wszystko, co powiedziała, jest prawdą.

Gloria szperała w torebce. Kiedy wyciągnęła rękę, ujrzałem w niej mały pistolet. Nigdy przedtem go nie widziałem, ale nie byłem zdziwiony. Bynajmniej nie byłem zdziwiony.

- Masz. - Wręczyła mi pistolet.

- Nie chcę. Schowaj go - odparłem. - Chodź, wracamy. Zmarzłem...

- Weź go i wyręcz Pana Boga - powiedziała wciskając mi pistolet do ręki. - Zastrzel mnie. To jedyny sposób uwolnienia mnie od udreki.

Ma rację - mówiłem sobie w duchu. - To jedyny sposób uwolnienia jej od udreki. *Jako mały dzieciak spędzałem zawsze lato na farmie dziadka w Arkansas. Pewnego dnia stałem obok wędzarni i patrzyłem, jak babka robi ługowe mydło w dużym żelaznym kotle, gdy wtem przez podwórze nadszedł dziadek, bardzo wzburzony. „Nellie złamała nogę” - zawołał. Pospieszaliśmy z babką przez przełaz do ogrodu, gdzie dziadek orał. Stara Nellie leżała na ziemi i rżała żałośnie, jeszcze zaprzężona do pługa. Staliśmy patrząc na nią, po prostu patrząc. Dziadek wrócił ze strzelbą, która służyła mu w bitwie pod Chickamauga Ridge. „Wdepnęła w norę” - powiedział głaszcząc Nellie po ' łbie. Babka obróciła mnie twarzą w przeciwnym kierunku. Rozplakalem się. Usłyszałem wystrzał. Jeszcze dziś go słyszę. Podbiegłem i rzuciłem się na ziemię, by objąć końską szyję. Kochałem tego konia. Nienawidziłem dziadka. Wstałem i podszedłszy do niego zacząłem go okładać pięściami po nogach. Trochę później tego samego dnia wytłumaczył mi, że on także kochał Nellie, ale musiał ją zastrzelić. „ To był akt największego miłosierdzia - wyjaśnił. - Stała się nieprzydatna. To był jedyny sposób uwolnienia jej od udreki...”*

Trzymałem pistolet w ręce.

- Dobrze - zwróciłem się do Glorii. - Powiedz kiedy.

- Jestem gotowa.

- Gdzie?...

- Tutaj. W bok głowy.

Molo podskoczyło, kiedy rozbiła się o nie duża fala.

- Teraz?...

- Teraz.

Strzeliłem.

Pomost znów się poruszył i woda cmoknęła opadając na powrót w łóżysko oceanu.

Wyrzuciłem pistolet za poręcz.

Jeden policjant siedział ze mną w tyle samochodu, drugi prowadził. Jechaliśmy z dużą prędkością, na sygnale. Takiego samego sygnału używali podczas maratonu tanecznego, kiedy . chcieli nas obudzić.

- Dlaczego ją zabiłeś? - spytał policjant siedzący ze mną w tyle.

- Prosiła mnie o to - odparłem.

- Słyszysz, Ben?

- Ależ z niego usłużny facet! - powiedział Ben przez ramię.

- Nie miałeś żadnego innego powodu? - zapytał policjant siedzący przy mnie.

- A czyż nie dobija się koni? - odrzekłem.

**...niech Bóg się nad tobą
zmiłuje...**